ROK I. Nr 42.

10 listopada 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



UŚMIECH KLARY BOW

(Paramount)

Co słychać na świecie?

Czas jesieni, czas owocobrania, uwiędłych liści i odlatujących ptaków — czas przygotowującej się do snu zimowego przyrody jest zarazem — wprost przeciwnie — czasem odrodzenia polityki, regeneracji parlamentów, zlotu mężów stanu, odrodzenia walk o władzę, kryzysów rządowych i nowych wyborów. Emocjonujące wrażenie kampanji wyborczej przeżyła właśnie pobratymcza nasza sąsiadka, Czechosłowacja, w której przeprowadzone ostatnio wybory dały nader interesujące, acz spodziewane wyniki.

Więc przedewszystkiem zaznaczyły się one klęską komunistów, którzy stracili 25% swych mandatów, i znacznem zwycięstwem partji socjalistycznych w obu odcieniach: demokratycznym i narodowym. Grupa katolicka, obejmująca ludowców czeskich z pod znaku ks. Hlinki także poniosła straty, które przypisać należy z jednej strony postępom socjalistów, z drugiej strony błędnej praktyce Hlinkowców, którzy — wbrew oczywistym konkurencjom — nie chcieli zerwać więzów solidarności z bohaterem procesu w Bratysławie p. Tuka, oskarżonym i skazanym przez sąd za szpiegostwo. Natomiast grupa liberalna, składająca się z paru partyj o wspólnych odcieniach programowych i będąca główną osnową dotychczasowej koalicji parlamentarnej wyszła z wyborów obronną ręką, a nawet z pewnym nieznacznym wzrostem sił.

Zwycięstwo socjalistów nie oznacza na terenie czechosłowackim zwycięstwa kierunku radykalnego i rewolucyjnego. Socjaliści czescy są z ducha reformatorami, ale trzymają się stale gruntu państwowego, a ich odłam konserwatywno - narodowy z p. Beneszem na czele składał niejednokrotnie dowody głębokiej przezorności i ostrożności politycznej. Socjaliści brali przez sześć lat udział w rządach wespół z partjami burżuazyjnemi — a jeśli ta unia rozpadła się w 1925 roku, to tylko w wyniku sprawy ceł na zboża, podniesionej przez sfery agrarne. Zarówno wzmocnienie socjalistów, jak osłabienie komunistów i katolików są przejawem tego samego stanu rzeczy: utrwalającego się coraz dokładniej w Czechosłowacji poczucia lojalności państwowej i praworządnej pracy, jakkolwiek w bezpośrednim wyniku przyniosło kryzys rządowy; gabinet p. Udrzala, pozbawionego jednej z podpórek od strony katolickiej podał się do dymisji. Należy przypuszczać, że rząd następny wyłoni się z porozumienia liberalno, agrarno - socjalnego.

We Włoszech obchodzono uroczyście siedmioletnią rocznicę marszu na Rzym, która się stała symbolicznem świętem faszyzmu. W dnie takie „il Duce" zwykł zawsze miewać wielkie programowe mowy, a ponieważ żadna z tych mów nie była dotąd obojętną dla Polaków, trzeba i teraz zwrócić na nią uwagę. Brzmiała w niej nuta bardziej niż kiedykolwiek żywej pewności siebie i triumfalnego wszechwładztwa. Zdaje się, że faszyzm istotnie jest właściwą dla duszy włoskiej formą politycznej aktywności, a olbrzymi przewrót, który się za sprawą faszystów dokonał zarówno w dziedzinie politycznej, jak społecznej, gospodarczej, moralnej i intellektualnej, sprawia, że odtąd czas może jedynie pracować na rzecz faszyzmu i widzów odwetu nielicznej grupy inaczej myślących polityków włoskich jest nader blade, bo bardzo odległe. Tem mniej zrozumiały i przykrzejszy był w mowie p. Mussoliniego agresywny zwrot o żalu, płynącym jakoby z faktu, iż nie ustawił on w swoim czasie szeregiem pod ścianą swych nieprzyjaciół politycznych.

Jakkolwiek faszyzm nie ma powodu do obaw, jest jednak niezmiernie czuły na wszelkie przejawy protestu. Zamach na ks. Humberta, dokonany niedawno przez niejakiego Fernando Derosa w Brukseli w czasie pobytu księcia z okazji zaręczyn z księżniczką belgijską, dał powód prasie włoskiej — a wiadomo czyim echem jest dziś prasa włoska — do rozdzierania szat i obwiniania — — naturalnie Francji — o moralne inspirowanie szalonego młodzieńca. Jakkolwiek związek jest dość luźny, zaatakowano Francję o udzielanie azylu emigrantom włoskim i zażądano od niej, aby wybierała: wojna czy pokój. Podniecenie, rzecz prosta, minie, ale jest rzeczą godną pożałowania, iż doprowadziło ono do podobnych wybuchów właśnie w okresie między konferencją haską, a przyszłą konferencją w Londynie, kiedy współpraca francusko-włoska zaczęła wydawać pozytywne rezultaty.

Na świecie tak się dziwnie zazwyczaj składa, że nieszczęście jednych idzie w parze ze szczęściem drugich. Katastrofalna baissa walorów przemysłowych na giełdzie nowo-jorskiej pociągnąć może za sobą — a są już widoczne znaki, że pociągnie — znakomity wzrost konjunktury gospodarczej w Europie. Krach giełdowy w Ameryce jest jeszcze zjawiskiem zbyt świeżem, aby je można było dokładnie ocenić, należy się jednak liczyć z tem, iż oznacza on koniec inwestycji kapitałów nietylko amerykańskich ale nawet częściowo i europejskich w przemyśle amerykańskim, który w latach 1928-29 osiągnął najwyższy szczyt swego rozwoju w związku z konjunkturą na rynkach światowych. Inwestycje te uwięziły kolosalne kapitały w Ameryce i stały się przyczyną ogólnego podrożenia pieniądza i skurczenia rynku finansowego, co zostało boleśnie odczute przez większość państw europejskich. Załamanie się kursu akcji przemysłowych w Ameryce będzie początkiem upłynnienia kapitału, który zacznie szukać dogodnych rynków lokaty, a wówczas strumień złota spłynie Gold-stream'em na Europę. Są znaki na niebie, że proces ten już się rozpoczął: nowojorski Federal Reserve Bank obniżył stopę dyskontową z 6% na 5%, a za jego przykładem poszedł Bank Anglii, Bank Holenderski, Bank Rzeszy Niemieckiej, żeby nie wyliczać wszystkich. Pieniądz tanieje i to — horribile dictu! — kosztem biednych miljarderów amerykańskich!

Aby już nie poruszać innych spraw prócz przyjemnych, wspomnę o układzie polsko - niemieckim w sprawach finansowych. Układ ten był wynikiem konferencji haskiej, na której postawiono zainteresowanym stronom zalecenie wzajemnego anulowania pretensyj finansowych z tytułu rozrachunków wojennych. Między Polską, a Niemcami pretensje te sięgały sumy po każdej stronie półtora miljarda złotych. Ponieważ w wyniku przyjęcia w r. 1924 planu Dawes'a Niemcy zbyły się obowiązku płacenia innych zobowiązań likwidacyjnych prócz reparacyj wojennych, Polska znalazła się w tem niemiłem położeniu, że sama nic uzyskać nie mogła, a była ustawicznie zasypywana nadmiernemi pretensjami. Układ ostatni likwiduje wszelkie rozrachunki między Polską a Niemcami, a ponieważ równocześnie Polska zrzekła się dalszej likwidacji majątków niemieckich, egzystencja Trybunału Mieszanego w Paryżu zasypanego sprawami w tych kwestjach stała się wogóle zbędna.

Wydaje się również bliską chwila porozumienia handlowego między Polską a Niemcami, słowem świta jutrzenka sąsiedzkiej sielanki, o ile... Niemcy, które przyjęły projekt Hugenberga zechcą dać swój placet rządowi, który plan podpisał. Zwyczajnie, plama na słońcu.

Dr. J. G.



W dzień zaduszny pan generał Fabrycy, II wiceminister Spraw Wojskowych, przyjął raport kompanji honorowej przed grobem Nieznanego Żołnierza



Kryzys rządowy we Francji został zakończony mianowaniem na premjera André Tardieu. (karyk. Bip'a)



W wyniku kryzysu bankowego w New-Yorku prezes giełdy G. F. Baker stracił 400 miljonów dolarów



Poseł paryski Scapini „wielki inwalida wojenny" — niewidomy wstąpił w związki małżeńskie z p. Marją Decour



Hiszpański publicysta José Montero Alonso został nagrodzony przez rząd za swoje prace w dziedzinie propagandy



Słynny pisarz angielski Chesterton jest kandydatem na tegoroczną nagrodę Nobla



Nadzwyczajny wypadek w kronice kryminalnej St. Zjedn. — 70-letnia kobieta, Matylda Tytus, sprawczynią mordu na osobie 85-letniego swego męża



W oczekiwaniu rozwiązania wypadków sejmowych posłowie konferują w bufecie



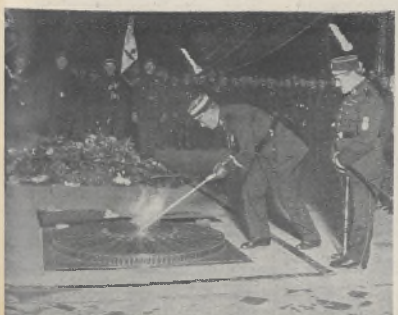
Nowomianowany premjer francuski, André Tardieu konferuje ze swymi sympatykami



Książę Walji wciąż demokratyzuje się. Oto ostatnie zdjęcie z pobytu jego w jatkach londyńskich podczas stemplowania sztuki mięsa



Międzynarodówka bacznie śledziła za przebiegiem kryzysu gabinetowego we Francji. W tej sprawie został nawet wysłany do Paryża tow. Fritz Adler z Wiednia



Uroczystość zapalenia znicza w wilję Dnia Zadusznego na grobie Nieznanego Żołnierza w Paryżu. Prefekt policji Chiappe zapala światło



W wyniku konfliktu pomiędzy Sejmem a Rządem, sesja została odroczona na dni 30

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

Dzieciarnia

Na okładce jednego z ostatnich numerów pisma „7 Dni", wymalowano śliczną dziecinną twarzyczkę, a pod nią wypisano wielkiemi literami moje nazwisko. Miało to oznaczać, że wewnątrz numeru znajduje się mój feljeton; wszyscy czytelnicy rozumieli jednakże inaczej i łatwo doszli do przekonania, że śliczny chłopaczek wyobraża mnie, z czasów moich lat niemowlęcych. Otrzymałem mnóstwo gratulacyj, nieco zdumionych, że piękny kiedyś chłopiec mógł tak przeraźliwym ulec przeobrażeniom i że z pięknego motyla, wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy, taka straszliwa wyrosła poczwara. Ponieważ nie mam zamiaru utrzymywania nikogo w błędzie, oświadczam, że nie jest to mój wizerunek. Kiedy byłem w wieku tego miłego chłopaczka, już, zdaje mi się, nie miałem włosów, nos miałem zadarty, na przodzie brakowało mi dwóch zębów, wybitych podczas srogiej indjańskiej wojny, głowę miałem ogromną, jak dynia, usta szerokim rozwarte uśmiechem ,oczy też śmieszne, dziurawy kapelusz, a porcięta, jak sito, przez które można było piękne oglądać krajobrazy. W żaden tedy sposób nie mógłbym być tym, którego wyobraża obrazek na okładce. Za mimowolną zaś krzywdę, którą wyrządzono temu małemu dżentelmenowi, życzę mu, aby nigdy nie robił tego, co ja robię, a więc ,aby nie pisał wierszy i duszę zachował w stanie niewinności.

Widać z tego wszystkiego, że się zrobił galimatjas na dziecinny temat; mnie zrobiono dzieckiem, a dzieci grożą podobno srogą awanturą redakcji pisma, że nie wszystkie zostały w niem wymalowane. Piszę o tem na prośbę redaktora pisma, który jest bliski obłędu, a padłszy przedemną na kolana, rzewnie płakał i błagał, abym go ratował. Dobrze mu tak! Myślał sobie w przemyślnej duszy, że można ogłosić konkurs na najpiękniejsze dziecko, wydrukować jeden artykuł i dziesięć zamieścić fotografij i koniec na tem.

O, nieszczęsny! To nie Francja, gdzie się rodzi jedno dziecko na tydzień, lecz Polska, w której tysiące dzieci rodzi się codziennie. Gdyby można eksportować standaryzowane niemowlęta, z pieczątką na różowym pośladku, świadczącą, że artykuł jest najlepszej jakości, bylibyśmy najbogatszym narodem. Wielki człowiek, marszałek Foch, serdecznie się dziwił ilości polskich dzieci, a byle czemu taki człowiek się nie dziwił. Dzięki Bogu, strasznie dużo jest tego najmilszego tałatajstwa. To też pan redaktor wpadł i teraz, jak błędny chodzi; przysłano mu kilka tysięcy fotografij. Gdyby chciał je wszystkie podać w swojem piśmie, przez wiele lat nic innego by nie robił, tylko odbijał dziecinne twarzyczki, to też ostatnie dziecko, którego fotografję umieszczonoby w „7 Dniach", miałoby już brodę, żonę i dzieci i już nie mogłoby brać udziału w konkursie, który rozpisany został dla dzieci, a nie dla brodatych dryblasów.

Muszę wobec tego wstawić się za tym nieszczęsnym człowiekiem, który ze szczętem zdziecinnieje, jeśli go nie wyratuję. Umieścił około trzystu pięknych fotografij, licząc już z tą moją, przeraźliwie fałszywą i więcej już umieścić nie może. Słyszę, słyszę straszliwy wrzask i pisk i narzekanie: „a gdzie ja jestem? czemu mnie nie namalowali?"

Co racja, to racja! Tylko jak to uczynić? Gdyby to zależało odemnie, wymalowałbym wszystkie dzieci i wydałbym ten zbiór w dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tomach. Każde dziecko bowiem jest śliczne, tem ładniejsze na obrazku, że siedzi raz w życiu cicho. Naprawdę jednak nie da się to uczynić. Redaktor już i tak jest bliski wesołego szaleństwa i w ten sposób urozmaica sobie życie, że co rano uderza głową o twardą szafę, chcąc w ten sposób wykrzesać z niej radę, jak uczynić, aby i wilk był syty i koza cała? To też, dowiedziawszy się z jego jęków, o nieszczęściu, którego sam sobie nawarzył, mam zaszczyt prosić wszystkich „poszkodowanych" o litość dla niego. I tak wśród tysięcy fotografij, wynajdą najpiękniejszą twarzyczkę, więc się krzywda nikomu nie stanie A cóż to dla nas znaczy, panowie i panie, że nas nie wydrukują w gazecie? Mnie też umieścili przez pomyłkę tylko. Przebaczmy więc wszyscy razem wspaniałomyślnie temu panu, który chciał jak najlepiej, tego tylko nie wziął pod uwagę, że tyle dzieciarni jest na świecie. Ja, osobiście, nigdy tego nie pragnę, aby moją twarzyczkę odbijano w gazecie, bo i jakiż z tego zysk? Mam zawsze wrażenie, że mnie „oczerniono", na obrazku bowiem, odbitym maszyną, z najśliczniejszej fizjognomji robi się czarny pysk, a zamiast pięknego młodziana, patrzy na ciebie kocmołuch, z gębą w kratkę, z jednem okiem wyżej, drugiem niżej, a zamiast ucha ma białą plamę niezasmarowanego papieru ,bo maszynie zabrakło smarowidła. Czy to ładnie? Raz mnie tak namalowali, że, ujrzawszy twarz własną, krzyknąłem i rzewnie zapłakałem: nie miałem jednego oka, a tam, gdzie powinny być usta, wydrukowano numer telefonu firmy, sprzedającej trumny, której ogłoszenie umieszczono obok mego portretu. Nie należy przeto nigdy żałować, że nie umieszczono naszej fotografji.



...*ostatnie dziecko, którego fotografję umieszczonoby w „7 Dniach" miałoby już brodę, żonę i dzieci i już nie mogłoby brać udziału w konkursie... (Fot. Universal)*

Mogą się bowiem zdarzyć i inne nieprzyjemne rzeczy. Przypuśćmy, że cię namalowali na pierwszej stronicy pisma; a po dwóch tygodniach, przynosi kucharka ogoniastego śledzia, zawiniętego — w twój portret. Czy to przyjemnie pachnieć śledziem? Słona to i niezbyt wonna przyjemność.

Na fotografji jesteś śliczny, a kiedy ją wydrukowano, bierze ją ten wisus Staszek z Hożej i straszliwie na niej dokonuje operacyj: atramentem domaluje ci wąsy, zbójecką doda brodę, wyłupi ci stalówką oczy, a w piękne usta wsadzi obrzydliwą fajkę, z której unoszą się zwoje dymu. Zawsze się przecie tak robi z obrazkami w pewnym wieku, który uczeni mianują „wiekiem cielęcym".

Pocóż tedy martwić się, jeśli nas nie wymalowano? Lepiej to, lepiej sto i tysiąc razy, jeśli chłopaczka, co teraz ma sześć lat, wymalują za lat trzydzieści za to, że się czemś nadzwyczajnem wsławił, że ślicznie napisał wiersze, albo wspaniały zbudował most. To dopiero będzie radość i duma!

A tak?

Cóż to za przyjemność?

Widzicie, że się można bez tego obejść. Najlepiej jest z mądrymi ludźmi pogadać na rozum, tak właśnie, jak ja gadam z wami, a wszystko będzie w porządku. Jest mi niezmiernie miło, że mnie o to poproszono, mam bowiem sposobność przebywania choć przez chwilę w niezwykle wytwornem towarzystwie, w którem zdarzy się wprawdzie taki wypadek, że ktoś dłubie w nosie, lecz zdolność rzadko się zdarzy. Dawna jest nasza znajomość, ladies and gentlemen, gdyż napisałem już dla was tyle, tyle bajek! Ile też razy spojrzę na fotografję jednego z was, mam wrażenie, że się z niej ktoś do mnie właśnie uśmiecha, do nikogo, tylko do mnie. Jest mi wtedy niezmiernie przyjemnie .Co tam, wobec tego słodkiego uśmiechu, znaczy jakaś fotografijka! Oryginał jest zawsze najpiękniejszy, dlatego mam zaszczyt oznajmić oryginałom, że na święta ukaże się dla nich nowa moja bajka, p. t. „Dzielny Janek i jego pies", w zbiorze „Bardzo dziwnych bajek". Jest to historja okropnie śmieszna, bo chciałbym, aby żadne dziecko nie płakało nigdy, nigdy, lecz zawsze było takie uśmiechnięte, jak wiosenny poranek.

Niech się więc każde i dzisiaj uśmiechnie, choć nie umieszczono w gazecie jego fotografji.

Czy wiecie że...

...dzięki intensywnym pracom meljoracyjnym grunty, uważane dotąd za nieużytki, przyniosą w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich dziesięciu lat zbiory wartości miljarda dolarów.

*

...po długich próbach udało się ogrodnikom skrzyżować kapustę z rzodkwią. Ze skrzyżowania otrzymano nową nieznaną dotąd roślinę.

*

...w Stanach Zjednoczonych istnieje zgórą trzysta szkół lotniczych. A u nas?

*

...popiół cygar bynajmniej nie niszczy tkanin. Przeciwnie, chroni je od moli, które nie znoszą jego zapachu.

*

...jeszcze w roku 1910 w puszczy białowieskiej znajdowało się 800 żubrów, w roku 1914 ilość ich wynosiła 727, w 1915 po ustąpieniu Rosjan — już tylko 121, zaś w lutym 1919 roku padł pod strzałami kłusownika ostatni żubr.



ajwiększy na świecie most wiszący, długości 7.400 stóp, został zbudowany pomiędzy miastami Detroit i Sandwich. Po wysokości i rozpiętości mostu możemy sądzić o trudnościach, jakie nastręczała praca tysięcznych rzesz robotników

Nad ziejącą paszczą otchłani

Wieża stalowa, na której smukłe piony złożyły się w misternie kowane czworokąty. W oddal: widnieje druga, bliźniaczo do pierwszej podobna. Poniżej przepaść. Jest wcześnie. Słońce zaledwie zdążyło pozłocić szerokie wody Hudsonu. W sinawej mgle tylko zlekka przebłyskują w dole grzbiety spienionych fal.

Brzmi chrapliwy dźwięk syreny. Z niewielkich zgrabnych budynków, wzniesionych na obu brzegach rzeki, u stóp potężnych żelaznych baszt, wysypują się gromadki ogorzałych ludzi. Za chwilę rozlega się przenikliwy gwizdek i dwie windy, kołysane podmuchami porannego wiatru, pędzą wzwyż, unosząc ludzkie ładunki ku płasko ściętym szczytom.

Jeszcze chwila i ciszę okolicy mąci głuchy stuk młotków. Zgrzytają cierpko tnące twarde żelazo ostre piły. Rozlega się świst stalowych lin, niosących bez przerwy ku górze narzędzia i materjały budowlane. Chaos dźwięków. Nie. Jest pewien rytm w tym koncercie dysonansów. Wszystko tu, nawet ruchu malutkich postaci ludzkich, pracujących nad budową wielkiego mostu, co niebawem ma połączyć dwa brzegi olbrzymiej rzeki, cechuje jednostajność — dokładny automatyzm.

Ludzie i narzędzia zlewają się w jedną całość mechaniczną. Trzy uderzenia na minutę. Rytmicznie zginają się postacie półnagich, kujących stal ciężkiemi młotami robotników. Co kwadrans, dokładnie, podnoszą się potężne ramiona bezdusznych żórawi, podając pracującym bloki błyszczącej stali.

I regularnie, niby żywe sprężyny, jakiegoś gigantycznego mechanizmu, robotnicy w górze przyjmują owe masy zimnego metalu, systematycznie lokując je na miejscach przeznaczenia.

Cała robota odbywa się w milczeniu. Żaden okrzyk, żadna wesoła piosenka, nie dolatują wdół ze szczytów wciąż potężniejących stalowych wież. Niema tam życia. Jest tylko mechanizm. Czasami tylko scenę tej bezdusznej pozornie pracy ożywi błysk krwistego płomienia. To odbywa się spawanie wiążących pajęczą siatkę wieży żelaznych nitów.

Pozatem nic nie urozmaica widoku pracy ludzkiego mrowia nad stworzeniem dzieła godnego rąk tytanów. A nie należy zapominać, że praca nad niem odbywa się na wysokości wprost zawrotnej. Siedemset stóp dzieli balansujących na szczytach stalowych rusztowań robotników od powierzchni głębokich wód Hudsonu. Jeden nieopatrzny krok, jedno poślizgnięcie na gładkiej powierzchni metalowego bloku i nieszczęsny runie w przepaść. He, ho. Taki robotnik zajęty przy budowie żelaznego mostu musi być nietylko wykwalifikowanym ślusarzem, ale i akrobatą niełada.

Musi nawet więcej posiadać zimnej krwi i odwagi niż przeciętny cyrkowiec. Bo tamtego wszakże chroni rozpostarta nad piaskiem areny siatka. W razie upadku może mu grozić wstrząs conajwyżej lub jakieś lekkie zwichnięcie. Tego zaś, w dole czeka tylko śmierć.

A jednak żadnego z nich nie przeraża ziejąca pustka skąpanej w sinej mgle otchłani. Widać ich z dołu, jak pracują obojętnie ,jak gdyby stali nad kowadłami zwykłej bezpiecznej kuźni. Niektórzy klęczą na samych krawędziach szczytu żelaznej konstrukcji, wygładzając pilnikami pozostałe jeszcze nierówności. Inni zaś w oczekiwaniu na nowy blok żelazny, który lada chwila poda im długie ramię żórawia, zapalają z zimną krwią papierosy i niedbałym ruchem strząsają popiół w straszną przepaść.

Ktoś z cudzoziemców, zwiedzających budowę nowego mostu na Hudsonie, zagadnął nadzorującego inżyniera:

— Ile też będzie kosztowała ta budowa?

— Ech, nie tak wiele — odpowiedział architekt i wymienił sumę, której wielkość zdumiała pytającego.

— Cóż za olbrzymi nakład.

Inżynier uśmiechnął się.

— Proszę pana .To jeszcze nie wszystko. Zapomniałem o najważniejszej rubryce.

— A więc nakład zwiększa się jeszcze?

— Ma się rozumieć. O zimną krew i odwagę naszych robotników. Wartości te nie mają wprawdzie odpowiednika w dolarach ,ale faktem jest, że bez nich nie zbudowalibyśmy mostu nawet za podwójną sumę.

To prawda. Śmiało rzec można, że bez zimnej krwi, bez owej wspaniałej odwagi i pogardy dla śmierci, jakie cechują zatrudnionych przy tej gigantycznej budowli robotników, nigdy nie powstałby nowy most na Hudsonie, największy, jakiemi gdziekolwiek na świecie związano kiedy brzegi rzek.

U stóp wież widnieją słupy z napisami, które głoszą, że nie wolno nikomu pod groźbą wysokich kar siadać na szczycie kabiny dźwigu i w taki sposób windować się do góry. Te same kary grożą też śmiałkom, którzyby lekkomyślnie zapragnęli zjechać ze szczytu stalowej wieży na ziemię, posiłkując się do tego stalową liną, która podtrzymuje wierzchołek.

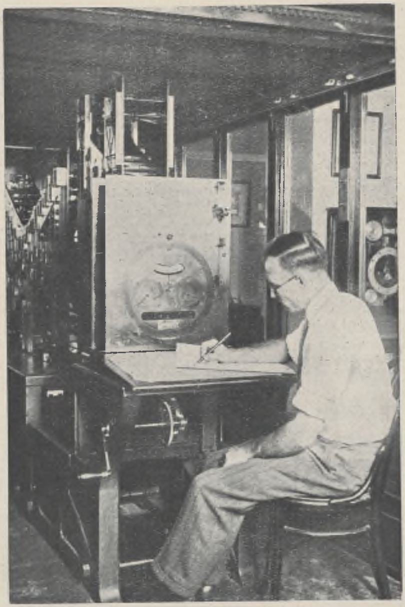
Zakazy te są niezbędne, bo bywały tu i takie wypadki. Co młodsi robotnicy korzystali z tych nietyle już wątpliwych, ale wprost grożących straszną śmiercią środków lokomocji.

Zostało tu uznane za niebezpieczne. Zabroniono Jednego z drugim ukarano dla przykładu. Nikt jednak nie zabroni tym śmiałkom balansowania dzień w dzień, po kilka godzin, na wąskich niby trapezy wiązadłach stalowych baszt, po których snują się oni nad siedemsetstopową otchłanią, pracując w bezwzględnej pogardzie dla śmierci.

J. T.



Robotnik, zatrudniony przy budowie olbrzymiego mostu lub drapacza chmur, musi posiadać poza wszelkiemi kwalifikacjami odporność na zawroty głowy.



Rekord myśli. Cornelius. D. Anger, z Colorado wynalazł maszynę, która spełnia robotę 75 matematyków i oblicza dokładne godziny przypływu i odpływu morza na okres 2-ch lat na całym globie ziemskim

BRUNO WINAWER.

Nareszcie jesteśmy trzeźwi

To „słówko" powstało — jeżeli się nie mylę — w pismach specjalnych, mniej poczytnych, w miesięcznikach, poświęconych architekturze.

Ktoś sprytniejszy zwrócił uwagę na to, że ludzie dzisiejsi inaczej dekorują wnętrza, inaczej ustawiają meble i zakładają firanki, niż ich ojcowie. Nie pchamy — gdzie trzeba i nie trzeba — konsolek, profitek, patarafek, dzierganych serwetek, kanapek, gerydonów, kandelabrów, nie zawieszamy nad łóżkami baldachimów, nie przyczepiamy szklanych wisiorków do żyrandola. Łóżka w mieszkaniach nowoczesnych giną — za naciśnięciem sprężyny — w ścianie, świecznik składa się z prostych rur albo talerzy ze szkła matowego. obrazy mają skromne ramy i nie zasłaniają murów od sufitu do podłogi. Stół wygląda jak stół, ma cztery nogi, i krzesło jest przeznaczone do siedzenia. „Trzeźwość" albo „rzeczowość" czasów nowszych!

Z frontonów znikły płaskorzeźby, esy - floresy, gzymsy, ozdobniki, budownictwo zrezygnowało z kolumn, pilastrów, architrawów, wyrabia z żel-betonu gmachy proste, gładkie, geometryczne. Dworzec wygląda jak dworzec i nie przypomina świątyni Apollina, kino przestało być grobowcem faraonów, zakład kąpielowy nie pozuje na przedhistoryczny chram słowiański.

Kobiety skoczyły po rozum do głowy, nie zamykają się w żelaznych gorsetach, wyjęły poduszeczki, zwane turniurami, postisze, uprzątnęły koki, obcięły włosy, nie mordują ptaków i nie przyczepiają do kapelusza ogonków, wisienek, marchewek, szklanych winogron, skrzydełek, piór, kaktusów, palm i oleandrów. Chodzą na płaskich podeszwach, nie używają korków, nie zamiatają ulic trenem, nie przylepiają muszek do policzków i nawet mówią — jakgdyby dorzecznie.

Trzeźwość zatacza coraz szersze kręgi. Dzieciaki nie bawią się już w Rinalda Rinaldiniego i w „czarnego luda". Odróżniają świetnie marki samochodów, Forda od Chryslera, gaworzą słodko o motorach, hydroplanach, szczebiocą o koniach parowych, tunelach, lotach transatlantyckich, rakietach i kilometrach na godzinę.

W Ameryce, skąd teraz czerpiemy wszystko — od kraju spodni aż do rytmów tanecznych i ideału prawdziwego mężczyzny — jakaś nowa fala entuzjazmu naukowego ogarnęła tłumy. Ludzie po nocach budują teleskopy, zakładają związki astronomiczne, kluby „amatorów kosmosu", fabrykują — pod kierunkiem poważnych uczonych — seismografy i notują w wolnych chwilach trzęsienia ziemi, albo fotografują meteory, spadające gwiazdy, szukają komet na niebie, regulują zegarki podług sygnałów radjowych i zapisują skrzętnie w kajetach obserwacje i spostrzeżenia. Pisma — zamiast zadań krzyżowych, logogryfów, rebusów i bzdurnych szarad — ogłaszają konkursy na najlepszy model latawca, szybowca, wyznaczają nagrody za najlepszy pomysł techniczny, za najrozsądniejszą odpowiedź na pytanie: co jeszcze wynaleźć trzeba?

Lot próbny nowej maszyny budzi taki zapał i taką sensację, że „zeppelin" nie mógł się uwolnić od „pasażerów na gapę", a słynny hydroplan „DO X" zabrał ich w przestworza — ku przerażeniu załogi — aż... jedenastu.

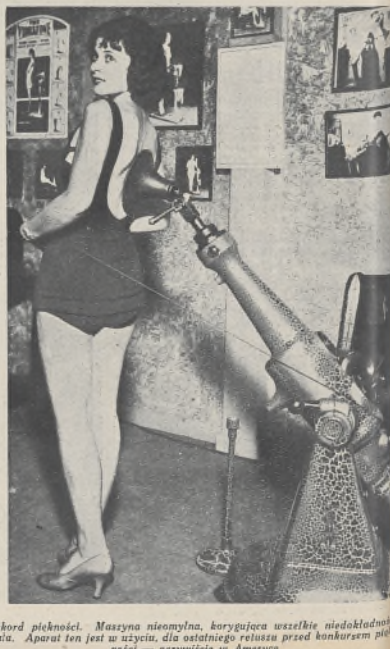
Najzabawniej odbija się owa chwila osobliwa w literaturze pięknej. Zginął z horyzontu — bezpotomnie i bezpowrotnie — rozczochrany, mocno owłosiony, wiecznie nieprzytomny poeta liryczny, który gdzieś tam w cichym zakątku nizał lśniące słowa na nitkę, wyrzucał z siebie rymowane bzdury i układał pokłócone wyrazy w niezrozumiałe zdania i grzmiące frazesy. Pisarz dzisiejszy jeździ po świecie, ma oczy szeroko otwarte, zna giełdę, doki, okręty, fabryki, machinacje spekulantów, banki i kasy oszczędności, wie, nad czem pracuje uczony i czem bandyta otwiera kasę ogniotrwałą.

Największy sukces w dziejach literatury nowszej osiągnął E. M. Remarque (900 tysięcy egzemplarzy w Niemczech, czterysta tysięcy we Francji i nie wiem wiele w Anglji i Ameryce) — dlatego, że — jak widać z każdego wiersza jego książki — *był tam*, widział to, co opisuje, nie gada na wiatr. Jeden z poważniejszych triumfów teatralnych przypadł w udziale sztuce w pięciu obrazach nieznanego dotąd autora, out - sidera, amatora, nie - zawodowca. Wstrząsnęła parterem i galerją, bo z każdego słowa w dialogu scenicznym bije prawda i słuchacz ma wrażenie, że nikt go tu nie oszukuje, nie naciąga, nikt nie ubarwia smutnej rzeczywistości, nie nadrabia miną, fałszem i tanią fantazją.

Nie twierdzę, oczywiście, że to czasy nowsze wymyśliły trzeźwość, ale coś jest w powietrzu... Świta, dnieje, rzeczy mają nareszcie właściwą barwę i prawdziwe kontury.

I nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jakiś solidny, *trzeźwy* historyk dzisiejszy dowiódł nagle ludziom, że dotychczas brodzili po tej ziemi w transie hipnotycznym, że poprostu mieli pałę zalaną od zarania dziejów. Aleksander Macedoński ruszył — zlekka zawiany — na podbój Azji, Hannibal pod dobrą datą szedł na Rzym, Bismarck w łagodnem delirium tremens fałszował depeszę emską...

Teraz dopiero przestało nam się dymić z czupryny. Wywietrzało... Nawet „katzenjammer" i zgaga, które nas chwilami męczą, świadczą wymownie o tem, żeśmy przez czterdzieści wieków byli mocno „wstawieni".



Rekord piękności. Maszyna nieomylna, korygująca wszelkie niedokładności ciała. Aparat ten jest w użyciu, dla ostatniego retuszu przed konkursem piękności — oczywiście w Ameryce

Jan Kiepura powierza „7 Dniom" obronę swojej polskości

— Bardzo przepraszam, że zmusiłem pana do czekania — wita mnie Jan Kiepura, wciągając marynarkę. Mam istne urwanie głowy. Śpiewam dziś, pan rozumie?...

— Czyżby występy robiły na panu jeszcze wrażenie? — pytam.

— Tak pan sądzi? A jednak... Przejdźmy do rzeczy. Więc ma pan, raczej mamy obaj, zrobić wywiad, bo chyba pan dobrze rozumie, że udzielenie wywiadu jest tak samo trudne jak zrobienie go. Słucham pana...

— Ready... Zaproponuję więc panu udzielenie mi oryginalnego wywiadu. Zobowiązuję się przedewszystkiem słowem honoru, że ani razu nie postawię pytania w rodzaju: „Jak pan doszedł do sławy?", „Wiele pan zarabiał w Wiedniu, Berlinie, Pradze etc?" „Ile miał pan kochanek?", „Jakiego pan używa mydła do golenia?" i „Czy się pan czuje szczęśliwy, śpiewając?". Niech pan mówi, co pan chce i co pan uważa za najistotniejsze, a w razie gdyby pan nie miał nic do powiedzenia, będę pytał.



Jan Kiepura

— Doskonale, widzę, że się dogadamy. Będę mógł wreszcie coś powiedzieć. I wolę to, bo trudno panu powiedzieć, jak jestem oburzony, wściekły, zmartwiony, że wśród pańskich kolegów — dziennikarzy, mogła się znaleźć podobna kreatura, która zarzuciła mi, iż zapomniałem mówić po polsku. Jak pan słyszy, mówię zupełnie poprawnie i specjalnie zabolał mnie ten zarzut, który godzi w moje najświętsze uczucia. Do djabła ciężkiego! trudno chyba przypuścić, żeby Polak, urodzony i wychowany w Polsce, będący do niedawna słuchaczem prawa na Uniwersytecie Warszawskim, mógł w ciągu tych kilku lat pobytu na obczyźnie do tego stopnia się wynarodowić, żeby aż zapomniał mówić po polsku. Skandal! Zarzut, który mnie spotkał ze strony jednego z panów recenzentów, godzi już nietylko we mnie, ale i w moją polskość, a tego nie mogę darować.

Inną jest rzeczą natomiast, dlaczego nie śpiewam w Warszawie po polsku? Pytanie proste, na które z łatwością może odpowiedzieć każdy, kto się zna na śpiewie. Artysta, który przestudjował partyturę w jakimś języku, przyswoił sobie dawne specyficzne, fonetyczne wartości tego języka. Gdybym chciał śpiewać po polsku, to — rzecz prosta — poświęcić bym musiał wiele czasu na specjalne studja wysławiania się, a za krótko zamierzam pozostać w Warszawie, bym mógł się pokusić o dokonanie tak żmudnej pracy lingwistycznej. Absurdem jest mnie posądzać o brak patrjotyzmu. Mogę to kwalifikować jako wyraźny i świadomy dowód złej woli, a do owego pana, który pisał o mnie podobne insynuacje czuję głęboki żal, bo większą mi krzywdę uczynił, niż nawet w wypadku, gdyby o moją sławę artystyczną chodziło. Kajdaniarz — ot i tyle...

— Czy aby nie za mocno powiedziane, drogi panie?

— Nie, proszę na wszystko, niech pan wydrukuje właśnie, najwyraźniej „en toutes lettres" KAJDANIARZ. Umówiliśmy się przecież, że to będzie mój pierwszy wywiad w życiu, w którym będę mógł nareszcie powiedzieć wszystko, na co mam ochotę. Wierzę, że „7 DNI" dopomoże mi w uświadomieniu mylnie urabianej opinji publicznej co do mojej osoby.

— Zgoda! Lecz teraz jedno pytanie. Jak robi się w dzisiejszych czasach tak zawrotną karjerę? Czy zawdzięcza ją pan tylko pięknemu głosowi?

— Ależ panie, głos mój w mojej karjerze życiowej stawiam dopiero na czwartem miejscu. Po pierwsze trzeba myśleć, po drugie również trzeba... myśleć, po trzecie trzeba myśleć, a wreszcie dopiero śpiewać!

— Bo jestem mocno przeświadczony, że w dzisiejszych czasach, człowiek, który posiada nawet wszelkie artystyczne warunki, a nie ma sprytu, nie dojdzie do niczego i odwrotnie. Niech pan tylko źle nie rozumie tego co mówię, i sprytu nie miesza z przebiegłością. Wyraz ten zawiera znacznie więcej, gdyż obejmuje rozum, intuicję, poczucie rzeczywistości, znajomość środowiska i t. d., a więc aktor winien być zarazem psychologiem i krytykiem, artystą i słuchaczem. No i, rzecz jasna, trzeba chcieć. Jest z pewnością więcej osób na świecie posiadających taki sam, albo może i lepszy głos ode mnie. Tymczasem niech pan raczy zauważyć, jak rzadkim wypadkiem jest t. zw. *karjera*. Dlaczego? Bo ludzie nie umieją jej zdobywać, nie umieją chcieć. Oto wszystko. Pan z pewnością powie, że operuję frazesami, ale to nie są frazesy.

Pragnąłem zrobić karjerę artystyczną od najwcześniejszego dzieciństwa, od najmłodszych moich lat, chciałem wbrew woli ojca, który marzył dla mnie o zawodzie prawnika, wbrew całej szarzyźnie życia, która mnie otaczała i doszedłem.

— Co pan może po wiedzieć o dzisiejszej publiczności?

— Wybaczy pan, że nie odpowiem na to boć przecież umówiliśmy się, że wywiad ten będzie zupełnie niepodobny do wszystkich innych, a nie było dotychczas ani jednego dziennikarza, któryby nie pytał mnie o to samo.

— Więc może...?

— Bez pytań, dobrze... Niech mi pan choć zostawi złudzenie, że prasa jest dla aktora serdecznym przyjacielem, że umie zachwycać się zaletami, ale również niekiedy pomóc w potrzebie. Tak, tuszę sobie jednak, że pomógł mi pan dzisiaj, tłumacząc Czytelnikom dlaczego zmuszony jestem w Warszawie śpiewać w języku Italów.

Chciałbym ponadto zaznaczyć, że ile razy nadarza mi się sposobność, to śpiewam zagranicą po polsku. Nie piosnki nawet, ale całe partje operowe. Nie tylko tam, gdzie przychylnie słuchają polskich słów, ale nawet w takich miastach, gdzie „polakożerstwo" jest hasłem publicznem, jak naprzykład we Wrocławiu. I jakże się cieszę, drogi panie, że danem mi jest propagować polskość moją po całym świecie, i jakże wdzięcznie przyjmuję wówczas oklaski, które nie tylko sobie przypisuję, ale temu, że polskim jestem artystą i odtwórcą polskich pieśni. Szalona satysfakcja...

Przejdę zkolei do opowiedzenia panu o swoich zamierzeniach. Niech mi wolno będzie przypomnieć w tem miejscu, iż mówiłem panu o ciężkiej pracy, której artysta musi oddawać po kilka godzin dziennie, aby nietylko nie wyjść z formy, ale i kształcić się, nie myśląc o chwilowem powodzeniu i tempie karjery. Boć wszystko bez pracy można łatwo zniknąć... To też opuściłem wielkie stolice, w których na rękach mnie niemal noszono i entuzjazmowano się każdym moim występem, choćby nawet radjowym koncertem. Wszystko porzuciłem i postanowiłem popracować w Medjolanie, gdzie tylu wciąż nowych rzeczy uczę się. Chciałbym dłużej popracować w kraju. Ale cóż robić. Na razie projekty te są nieziszczalne, za wyjątkiem kilku występów, które mogę dać co roku...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Impresarjo pana Kiepury był bliski szału. Co pół minuty otwierał drzwi i przypominał, „że już przecież minęło dawno owe 5 minut" o których mówiłem z nim przy drzwiach młodego mistrza.

— Dowidzenia panu, do zobaczenia na koncercie, postaram się w miarę możności, zadowolić pana. Nie napiszę, co prawda, ani razu, że pan jest moim bożyszczem, ale skłonię głowę jak inni przed pańskim talentem... no i tem, co pan nazywa sprytem.

Jerzy Lewestam.

NINA OKUSZKO-EFFENBERGEROWA.

Jej pantofelki

Cóż, kiedy za ciasne... O cały jeden numer.

— Proszę pana, czy niema trochę większych?"

Szybkie, zalotne spojrzenie z pod ponsowego kapelusika.

— Niestety: ostatnia para. Może na zamówienie?

— Kiedy potrzebne mi są na dzisiaj. A tak pasują do szarej sukienki...

Westchnienie... Pantofelki — istny poemat. Skórka srebrzysta z szafirowym brzegiem. Ale stanowczo, za małe: stopy ledwo mogą się zmieścić.

Moment wahania. Pokusa zbyt silna.

— Może się jednak roznoszą?

Na ulicy nowy kłopot—uwierają niemiłosiernie. Trzeba jakoś dobrnąć do domu. Wszak sama chciała włożyć je odrazu.

To nic: „roztańczy" je wieczorem. Lena z przyjemnością myśli o swoim stroju. Gaza, jak mgła popielata, haft z pojedyńczych, szafirowych chabrów. I pantofelki, jak wyśnione z bajki.

Mąż... Byle nie popsuł zabawy. Gazety i gazety. Niekiedy partja szachów z jej bratem. Czasem preferansa, gdy jest towarzystwo. Spać o dziesiątej, a rano do biura. Czyż można stworzyć nudniejszy tryb życia?

Prawda, nie zbywa jej na niczem. Tak bardzo pragnęła mieć nową sukienkę. Zwłaszcza, że z takim trudem namówiła męża, aby z Żelskimi pójść razem na dancing. Szara sukienka kosztowała drogo...

(„Stachu, czemuś nie kupił sobie tej encyklopedji? Wspominałeś, że bardzo ci na niej zależy".

„Eee... nic ważnego. Zdaje się, że nakład jest już wyczerpany").

Chwyta się ręką o pręt metalowy, dzielący wystawę od ulicy. Trzeba odpocząć. Stopy zupełnie ma jakby zdrętwiałe.

Poprzez lustrzaną szybę widać szeregiem rozłożone książki. Wallace... Marczyński, tomik Wierzyńskiego...

Encyklopedja!

Lena rozumie. Tak, bez wątpienia, Stach jest dobrym mężem... ale to nieznośne, wieczne domatorstwo!

Na dancingu rozbawiła się w najlepsze. Moc światła, kwiaty, powolne tempo marzącego tanga. Żelska nachyla się w stronę Leny.

— Poznam cię z kimś, kto już oddawna przygląda ci się dyskretnie. Tylko nie radzę ci się zakochać.

— Dlaczego? — rzuca mimowoli.

— Lotnik, bohater, odważny do szaleństwa. Lekceważy niebezpieczeństwo i szuka go jednocześnie. Ceni jedynie przestrzeń i swobodę.

— Czyż więc koniecznie muszę się zakochać?

— Jest niebezpieczny. Zobaczysz sama.

Żelska przesyła uśmiech i gest nieznaczny ręką. Przed Leną staje zgrabna, smukła postać. Kolejno Lena poznaje go z mężem. Słów kilka w dziedzinie konwenansu.

— Pani pozwoli?

Przewijają się wśród stolików. Jest jedną z wielu z któremi tak tańczył. Tak z pewnością myśli sobie Żelska, Lena jednakże, czuje to inaczej. Może tak samo, jak jej poprzedniczki.

— Życie ma w sobie dużo możliwości i nie jest ono wcale takie nudne. Rozmach i ryzyko. I umiejętność odrzucania tego, co nas zamyka w codziennej szarzyźnie.

— Kobiecie jest trudno wyrwać się ponad szablon...

— Zależy jakiej. Kobiety nie potrafią naogół, pochwycić piękna chwili. A skoro chwilę siłą się przedłużyć, już przez to samo czynią ją szablonem.

— Nie dziwię się panu, jako lotnikowi: życie pana również zależy od chwili.

— Ten wieczór także nie jest niczem innem.

(Gazeta rozłożona na stole. Nad nią schylona łysiejąca głową. Obok szklanka z wystygłą herbatą. Brzęk naczyń, ustawianych przez służącą w szafie.

Żółty abażur nad okrągłym stołem i ona, Lena ze swą wieczną robótką).

— Lenuś, może już pójdziemy?

Tak, rzeczywiście, wieczór ten to chwila...

Lena jest przedewszystkiem kobietą.

— Raz jeszcze przetańczę, — prosi. Żelska uśmiecha się domyślnie.

— Pamiętaj o przestrodze.

Zniknęli wśród tańczących. Lenę ogarnia nieokreślony żal.

— Niechże pani nie protestuje. Mąż pani musi odpocząć: sam mi wspominał, że jutro wyjeżdża.

— Ach tak, podróż w sprawach służbowych. Tylko te biuro, szachy i dzienniki. Już mnie naprawdę dusi ta szarzyzna.

— W jednej z moich wycieczek zawadziłem kiedyś o Egipt, potem dalej, w głąb Afryki. Mam trochę skór, jakieś amulety. Fotografje... Gdy czuję, że zaczynam wpadać w zniechęcenie, którego nawet warkot motoru nie zdoła rozproszyć, wtedy rozkładam wszystkie te zdobycze. One mi mówią o wrażeniach innych.

— Zazdroszczę panu: ma pan choć pamiątki.

— Czy chciałaby je pani zobaczyć?

Milczące zaskoczenie. Lecz cicho rzucane wyrazy trafiają dobrze do jej świadomości.

Konstancin... willa „Jabłonka". Od stacji niecały kilometr. Musi przejść sama, bo go wszyscy znają.

Przecież nie zgodziła się jeszcze...

— Będę więc czekał o czwartej.

Lena wraca do stolika. Spoważniała dziwnie i nie ma ochoty do zabawy. Pantofelki nie „roztańczyły się" zbytnio i stopy są obolałe. Stach na już minę zupełnie znudzoną i Żelscy także chcą wracać do domu.

— Do jutra, królewno srebrnych mgieł, — słyszy wyrzeczone półgłosem.

A potem wobec wszystkich:

— Pozwolą państwo się pożegnać...

Nazajutrz Lena śpi długo i mocno. Nawpół obudzona żegna się z mężem, który się śpieszy na poranny pociąg. Potem już sen nie wraca, odegnany przeczuciem bliskiej przygody.

Drobne zajęcia domowe zabrały czas do obiadu. W sercu trzepotał się lekki niepokój, który stopniowo przeszedł w podniecenie. Nieubłagany zegar tykał bez ustanku, a mała wskazówka już przekroczyła pionowy kierunek.

Chwila... Zapłata za nią trwać będzie długie lata. W codziennym widoku zwykłej gazety. W brzęku co wieczór ustawianych naczyń. W jej niekończącej się nigdy robótce.

Zatrzymała się przed otwartą szafą. Wzrok upadł na wiszące szeregiem sukienki.

Królewna srebrnych mgieł...

Zdjęła z wieszaka wczorajszą. Te same pantofelki. Odczuła je boleśnie na niedostatecznie wypoczętych stopach.

Lekki, jedwabny płaszczyk od kurzu. Siedząc przy oknie w trzęsącej kolejce, stwierdziła, że przedwczesny, majowy upał wzmógł się jeszcze bardziej, a skraj horyzontu zaległy złowróżbne obłoki.

Wyszła z wagonu, gdy niebo całe było już zasnute. Zdaleka dobiegał częsty odgłos grzmotu. Skierowała się naprzełaj wąską, polną dróżką, skąd już wyraźnie można było widzieć białą, piętrową willę, otoczoną krzewami jaśminu.

Coś uderzyło lekko o jej ponsowy kapelusz, potem raz jeszcze i drugi i trzeci.

Deszcz...

Lena próbuje biedz, lecz ciasne pantofle krępują stopy w sposób tak dotkliwy, że mimowoli musi zwolnić kroku. Każde szybsze stąpnięcie wywołuje ból nieznośny i Lena z rozpaczą mierzy wzrokiem prawie pół drogi, które ją oczekuje.

Jedna po drugiej przemknęły dwie błyskawice. Gwałtowny grzmot zakołysał powietrzem, a biała willa niedaleko lasu, znikła za szarą zasłoną ulewy.

Raz jeszcze stara się pośpieszyć i raz jeszcze czuje bezskuteczność wysiłku. Rozmokły grunt chlupie pod obcasami, a nieustanne migotanie błyskawic oślepia ją i przeraża.

Nagły czerwony blask i zaraz potem trzask ogłuszający.

Lena nie myśli o niebezpieczeństwie. Zmęczona, nawpół żywa przystaje u pnia samotnej, dzikiej gruszy, której wierzchołek przed chwilą rozszczepił się na dwie części. Mokre pantofle, rozpychane przez opuchnięte stopy skrzywiły się zupełnie, ze spłaszczonego kapelusza spływają bokami strugi wody. Poprzez rzednący deszcz bieleje mur „Jabłonki". Dwa okna na piętrze przesłonięte są morelową storą.

— To tam, — myśli Lena.

„To tam", podświadome i nagle obojętne, odczute przez odległość dalszą już teraz, niż ta, która dzieliła Warszawę od tych kuszących, kolorowych okien.

Warszawa...

(Równe, spokojne światło z nad okrągłego stołu. Dobre spojrzenie kochających oczu, odbiegłe niekiedy od stronic gazety. Cisza i ciepło i ta równowaga zadomowionych, ustalonych ludzi).

I oto łagodne, bezgłośne pozbawienie się upragnionej książki, byle ona — Lena miała swą szarą sukienkę.

I wyjazd ufny w pomyślność powrotu i w to, że wszystko zostanie tak samo.

Z pod rąbka uchodzących obłoków wychylił się skrawek błękitnego nieba. Morelowa stora w jednem z okien willi znikła, podniesiona niewidzialną ręką. Na białem tle muru odciął się ostro ciemny kwadrat wnętrza.

Czeka... Czeka w swym domu wśród egzotycznych pamiątek. Pogańskie amulety strzegą jego duszę od zarażenia się szablonem.

Odległy jeszcze gwizd oznajmił Lenie o nadchodzącym pociągu. Nie oglądając się wstecz, poszła w kierunku stacji.

Kiedy nazajutrz, po powrocie męża, siedzieli razem po obiedzie, zadźwięczał nagle krótki, ostry dzwonek.

Posłaniec.

Olbrzymi bukiet róż herbacianych znalazł się niespodziewanie w jej rękach. Ujrzała w oczach męża jakgdyby nieme pytanie.

Szczery, beztroski śmiech Leny był dostateczną odpowiedzią.

Kilka pachnących, oderwanych płatków spadło na schnące, ciasne, niewygodne, stojące w kącie niedaleko pieca... jej pantofelki.



Taki szary, codzienny żywot. Mąż stale zatopiony w lekturze gazet... (fot. Paramount).

Polowanie na goryle





Czaszka zabitego goryla

Nieprzebyta puszcza podrównikowa, potężne kilkusetletnie drzewa, gęste zarośla, zasłony splątanych ljan, duszący zapach egzotycznych kwiatów, wszystko spowite tajemniczym półmrokiem. Dziwne szmery, szelest prześlizgującego się węża, krzyki różnobarwnych papużek, od czasu do czasu trzask gałęzi, zgniecionej pod ciężką łapą grubszego zwierza, groźny ryk drapieżnika i żałosny skowyt pojmanej ofiary, nieustanna serenada, wygrywana przez miljardy komarów, — oto codzienny koncert tajemniczej dżungli.

Nagle... gdzieś w głębi kniei rozległ się głos podobny do grzmotu. Heu! heu! heu! Grzmot toczy się przez kilka chwil a zakończony odgłosem jakby uderzenia w bęben...

Cisza zaległa w prastarym borze. Wszystkie stworzenia wstrzymały swój oddech, strwożone, przywarły do gałęzi drzew, lub zapadły w gęstwinie zarośli. To odezwał się król tego zwierzęcego państwa, „leśny człowiek". Ogłosił przed chwilą, że jest zły i głodny i biada nierozważnemu śmiałkowi, który dość rychło nie usunie się mu z drogi.

Ryk goryla usłyszała również gromadka śmiałków, która wyruszyła jego śladami i oczekując na pojawienie się groźnego przeciwnika rozbiła swój namiot pod potężnym drzewem chlebowym. Biały, stojący na czele wyprawy, wydał cały szereg szybkich rozkazów, nabił dwa swoje karabiny i poprzedzany przez trzech murzynów, torujących drogę siekierami, wyruszył w stronę rozlegających się ryków.

15 minut uciążliwego marszu, wreszcie między splątanemi ljanami mrok powoli szarzeje, aż wreszcie w pewnej chwili pracowite siekiery przewodników natrafiają na próżnię i kędzierzawe głowy murzynów wysuwają się ostrożnie na niewielką polankę. Cofają się, by natychmiast się trwożliwie ukryć. Po środku polany, wśród wysokiej trawy porusza się jakaś ciemna masa. Z daleka słychać chrapliwy oddech i niezadowolony pomruk.

— „Massa! On żre" — słychać szept czarnolicego M'Bongu.

Biały myśliwiec, wysuwa się naprzód i powoli celuje w stronę zwierza. Pada strzał, potem krótki urwany ryk i goryl znać nie trafiony śmiertelnie wyprostowuje się całą swą groźną postacią.



Wyprawa na goryle obfituje często w nieprzewidziane przeszkody. „Leśny człowiek" podczas poobiedniej sjesty.

Przewyższa swego prześladowcę o półtorej głowy; pierś jego szeroka, kosmata, drży od wściekłości, pysk jeży się ostremi, długiemi kłami; małe, zaczerwienione, hytre oczka mierzą drobną postać śmiałka. Długiemi rękoma wali się w pierś, wydając odgłos, rozlegający się dalekim echem po puszczy.



Obaj przeciwnicy mierzą się oczyma; wreszcie drobna postać myśliwca podnosi powoli do oka karabin, mierzy krótko i... nie strzela. „Leśny człowiek" opuszcza się na cztery łapy, wydaje krótki żałosny skowyt i zwala się na bok martwy.

M'Bongu wydaje okrzyk triumfu i zaczyna jakiś cudaczny taniec. Zwycięstwo!

Murzyni rzucają się na martwe cielsko i po krótkiej chwili kosmata skóra zostaje ściągnięta. Przyda się ona dla miejscowego czarownika, który czerpie w niej siłę do swych „nadprzyrodzonych" praktyk. Służy ona mu niejako za liberję, bez której niewolno mu zwracać się do potężnych bożków, kierujących losami swego czarnego ludu.

Biały myśliwiec zastrzegł sobie jedyne trofeum dzisiejszego polowania w postaci potężnych kłów. Będzie to podarunek dla króla, na którego terenach poluje na drapieżniki.

Po chwili gromadka ludzi wsiąka w gęstwę ciemnego listowia. Odgłos siekier milknie. Na polankę ostrożnie zaczynają wysuwać się mordki hijen, które zwietrzywszy dla siebie ucztę, łakomie oblizują się czerwonemi językami.

Z gałęzi sfrunęło parę sępów i zatopiło ostre szpony w ścierwo martwego króla puszczy...

Na ikarowym froncie

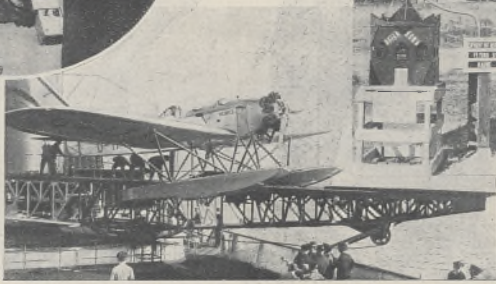
(POSTĘPY TECHNIKI LOTNICZEJ).



Wynalazcą „busoli radjowej" jest Waren Eaton z zakładów Eaton Radio Instr. Co w Ameryce. Aparat ten ułatwia kierowanie zwłaszcza podczas lądowania.



Wynalazek Maurice'a Poisier, umożliwia kierowanie aparatem bez pilota.



Startowanie przy pomocy katapulty z pokładu „Bremen".

Sukcesy „Zeppelinu" spędzają sen z powiek konstruktorom samolotów. Po tak świetnym rozwoju nagle dać się zdystansować przez pogrzebany zdawałoby się na zawsze pod pociskami sojuszniczej artylerji przeciwlotniczej sterowiec?! Shocking poprostu! Hajże więc na „Zeppelina"!

Sterowiec posiada w porównaniu z aeroplanem wiele zalet. Ponieważ jest znacznie większy, może zapewnić pasażerom komfort, nieosiągalny dla zwykłego samolotu. Co zaś najważniejsze, sterowiec — jako lżejszy od powietrza może przez dowolny przeciąg czasu wisieć nieruchomo w powietrzu, podczas gdy cięższy od powietrza aeroplan musi bez chwili wytchnienia pędzić naprzód; najmniejsza przerwa w ruchu powoduje katastrofę. Daje to sterowcowi możność przeczekania burzy, naprawienia najgroźniejszych uszkodzeń, słowem zapewnia mu całkowite bezpieczeństwo w warunkach, w których zwykły samolot jest niechybnie skazany na zagładę. Nawet gdyby wszystkie silniki przestały działać, to i wtedy sterowiec jest zupełnie bezpieczny. O losie aeroplanu w podobnym wypadku lepiej nie mówić. Oczywiście, aeroplan ma znowu swoje zalety wobec sterowca. Daje komunikację szybszą, tańszą, o wiele łatwiej dostępną i ruchliwą; prócz tego sterowiec jest, jak wiadomo, napełniony gazem wodorem, który jest bardzo łatwo palny i chociaż jest umieszczony w specjalnych metalowych komorach, to jednak niebezpieczeństwo pożaru i katastrofy nigdy nie jest wykluczone.

Wysiłki konstruktorów samolotów idą więc w dwóch kierunkach. Z jednej strony chodzi o możliwe udoskonalenie zalet, które aeroplan już posiada, z drugiej zaś — o zdobycie tych zalet, które stanowią o częściowej przewadze sterowca. Codziennie niemal prasa przynosi coraz to nowe wiadomości o postępach techniki lotniczej, o różnych wynalazkach i udoskonaleniach, mających zapewnić zachwianą przewagę samolotu.

Sterowiec może zabrać więcej pasażerów i zapewnić im większy komfort? All right! Konstruktorzy aeroplanów budują więc samolot - olbrzym, nie ustępujący pod względem wygody i ilości pasażerów sterowcowi. Parę takich samolotów jest już zupełnie gotowych. Pierwszy wykonany został we Włoszech i mieści 100 pasażerów, drugi — słynny już „DO. X" — zbudowany przez konstruktora niemieckiego d-ra Klaudjusza Dornier'a, unieść może 120 pasażerów z odpowiednim bagażem, a więc więcej od „Zeppelina". „DO X" jest prawdziwym „latającym jachtem". Posiada on własną kuchnię elektryczną, salę jadalną, salon towarzyski, specjalne kabiny dla kapitana i załogi, nie mówiąc już o luksusowych przedziałach pasażerskich. Własna radjostacja zapewnia mu stały kontakt z lądem, a szereg pomysłowych urządzeń sprowadza do minimum niebezpieczeństwo katastrofy. Specjalne sygnały świetlne donoszą natychmiast kapitanowi o uszkodzeniu motorów, a tunele wydrążone w skrzydłach pozwalają mechanikom przedostać się do motorów i naprawić uszkodzenia podczas lotu. Gdyby nawet cztery z pośród dwunastu motorów samolotu uległy uszkodzeniu, to pozostałe osiem zapewniają mu przecież całkiem normalny ruch. „DO X" jest pierwszym samolotem, posiadającym kapitana i naczelnego inżyniera. Czynność obu pracujących na zmianę pilotów jest sprowadzona do roli zwykłych kierowców. Pod względem ładunku użytecznego samolot ten przewyższa sterowiec, cóż dopiero mówić o szybkości. Wykonane w Szwajcarji próbne loty całkowicie usprawiedliwiły nadzieje konstruktorów. Wkrótce już potężny „DO X" wyruszy na podbój przestworzy! Będzie on obsługiwał linję powietrzną Berlin — Kopenhaga dwa razy dziennie.

Pomyślne próby zaopatrywania aeroplanu w paliwo bez przerywania lotu, w powietrzu, przez aeroplan pomocniczy, jest sukcesem lotników amerykańskich. System ten wydziera sterowcowi jeden jeszcze atut. Aeroplan, pragnący przebyć wielkie przestrzenie bez lądowania, był właściwie dotąd wielką latającą cysterną. O żadnym ładunku użytecznym nie mogło być mowy, jedynym bagażem było tylko paliwo. Dzięki nowemu systemowi aeroplan startuje z niewielką ilością paliwa, uzupełniając jego zapas po drodze. Specjalny aeroplan - cysterna wzbija się co pewien odcinek drogi łączy się z samolotem zapomocą węża i przelewa do jego zbiorników niezbędną ilość paliwa. Pobieranie paliwa na raty, w miarę wyczerpania się poprzedniego zapasu, pozwala zwiększyć ładunek użyteczny. Prócz tego ułatwia to znacznie sterowanie nieprzeciążonego samolotu. Obecnie aeroplan może z niewielkim zapasem paliwa przebywać największe odległości, nie lądując ani razu w ciągu całych tygodni. Nad oceanem, lub w kraju niezamieszkałym system ten nie ma, rzecz jasna, zastosowania i tu sterowiec jest narazie poza konkurencją.

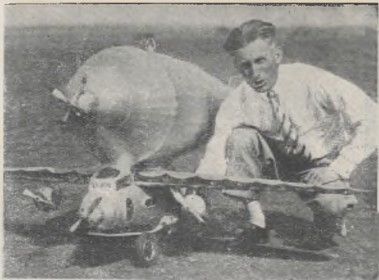
Specjalną uwagę poświęcają wynalazcy sprawie startowania i lądowania. Oderwanie się od ziemi jest rzeczą bardzo trudną. Tak np. „DO X" może latać przy sześciu uruchomionych motorach. Oderwanie się od ziemi wymaga jednak najwyższego wysiłku wszystkich dwunastu motorów. Jeden z amerykańskich konstruktorów proponuje więc cie-



Helikopter, samolot, którego śmigło w kształcie wiatraka pozwala na start pionowy.



Model samolotu „rotorowego", w którym siła śmigła pomnożona została wirującym walcem.



Ciekawą demonstrację odbyto przed paroma miesiącami w Toussus le Noble, stwierdzającą możność pilotowania aeroplanów przy pomocy aparatów precyzyjnych, zastępujących wzrokową orjentację lotnika. Kierowca może zatem lecieć wśród gęstej mgły lub nawet w nocy. Wynalazek ten, będący dziełem Lucjana Rougerie, dyrektora aerodromów Farmana ma b. doniosłe znaczenie dla rozwoju lotnictwa handlowego.



Wynalazca amerykański, John Hodgdon demonstrował niedawno aparat nowego systemu, który łączyłby w sobie zdolność statyczną sterówców napełnianych gazem z dynamiką właściwą aeroplanom. Próby „Powietrznego Lewiatana", dokonane w Long Beach dały wyniki zadawalniające.

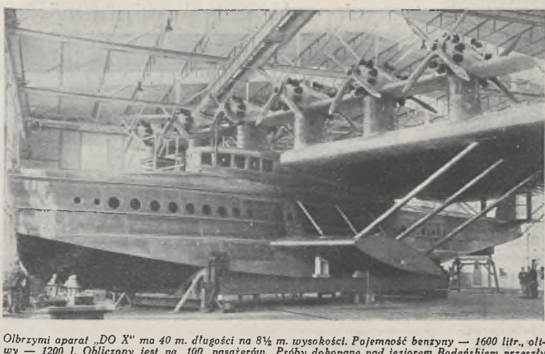
kawe urządzenie pomocnicze, składające się z wagonu platformy i lokomotywy. Samolot umieszcza się na platformie i puszcza się w ruch motory aż do rozgrzania. Wtedy lokomotywa rusza, najpierw łagodnie, później coraz szybciej. Kiedy osiąga ona określoną szybkość, motory samolotu zaczynają pracować szybciej, aż rozwijają najwyższą swą energję. Na sygnał pilota konduktor luzuje sztabę, umieszczoną na przodzie platformy i startuje bez wysiłku. Ciekawe to urządzenie wzbudziło duże zainteresowanie w amerykańskich kołach lotniczych, uzyskując uznanie jednego z najwybitniejszych lotników amerykańskich Chamberlaina dla pomysłowego wynalazcy. Inny wynalazca proponuje dla startowania i lądowania platformy o ruchomych powierzchniach, toczących się na rolkach. Przy startowaniu samolotu powierzchnia platformy porusza się w kierunku lotu, nadając samolotowi większy rozpęd; przy lądowaniu porusza się ona w kierunku przeciwnym ruchowi samolotu, hamując w ten sposób jego rozpęd.

Niezależnie od tego prowadzone są przez włoskich i amerykańskich konstruktorów prace nad zagadnieniem pionowego startowania w dowolnem miejscu. W tym celu umieszczone jest u góry samolotu śmigło specjalnej budowy, posiadające cztery skrzydła, jak wiatrak. Przy pomocy tego śmigła samolot zdobyć ma cenną właściwość pionowego wznoszenia się w powietrze W ten sposób urzeczywistniłoby się stare marzenie lotników, które pragnie upodobnić samolot pod wszelkim względem do ptaka. Niestety nie udało się tego dotąd osiągnąć. W konstrukcji ptaków latających kryje się snać jakaś tajemnica, dotąd niezbadana. Nietylko potrafią one zrywać się i opuszczać na każdem miejscu, ale posiadają nadto nieocenioną właściwość, którą bezskutecznie pragnie poznać i naśladować człowiek. Potrafią szybować, wisieć nieruchomo w miejscu i nie padać. Niedościgniony ideał w ikarowej tęsknocie człowieka...

Warto przy sposobności wspomnieć, że podobne śmigła - wiatraki posiadają samoloty, któremi new - yorska straż ogniowa ma zamiar posługiwać się w najbliższej przyszłości przy gaszeniu pożarów na drapaczach chmur i w okolicach podmiejskich. Przy pomocy tych śmigieł samoloty straży ogniowej będą w stanie lądować na płaskich dachach drapaczy chmur i z nich startować, oddając wielkie usługi tam, gdzie w warunkach zwykłych niezmiernie trudno się jest dostać rycerzom ognia.

Z Niemiec i Ameryki donoszą ponadto, że udało się skonstruować lekki silnik Diesla, któryby się nadawał do samolotów. Gdyby udało się w istocie zastąpić obecny silnik benzynowy silnikiem Diesla, to byłby to jeden z największych

(Dokończenie na str. 22).



Olbrzymi aparat „DO X" ma 40 m. długości na 8½ m. wysokości. Pojemność benzyny — 1600 litr., oliwy — 1200 l. Obliczony jest na 100 pasażerów. Próby dokonane nad jeziorem Bodeńskiem przeszły wszelkie oczekiwania.

Wśród twardych ludzi i groźnej natury

Legja Cudzoziemska została utworzona we Francji w r. 1831, jako formacja, która miała być używana jedynie poza granicami Macierzy— w kolonjach. Oddziały Legji dzielnie spełniły swoje zadanie podczas opanowywania przez Francję Algieru, uczestniczyły w wojnie krymskiej, w kampanj meksykańskej. W r. 1870 wsławiły się mężnym oporem przeciw natarciu jednego z najlepszych korpusów pruskich. Podczas wojny światowej Legja zdała egzamin bezprzykładnego męstwa i wierności, walcząc pod Carency, w Dardanelach, w Szampanji, — Auberive, pod Cumières, zdobywając zaszczytne odznaczenia, figurujące na sztandarach pułkowych i na piersiach dzielnych „poilus". Podobnie również w kampanji marokańskiej, przeciw Abd-el-Krimowi, oraz w Syrji, przeciw zbuntowanym Druzom — Legja dowiodła, iż istotnie jest jedną z najlepszych jednostek wojskowych Francji.

Przedziwna formacja... *(Dokończ. na str. 14)*



Oficerowie przed kasynem pułkowem w Sidi-bel-Abès. Czas im uprzyjemnia orkiestra, w której spotkać można, przy tak różnorodnym zespole ludzi z całego świata, niejednego artystę



Ćwiczenia w polu. Legjoniści, z których wielu było oficerami, pełnią bez szemrania ciężką służbę żołnierską



W odróżnieniu od ogólnie przyjętego w armji francuskiej hasła, wypisanego na sztandarach francuskich „Honneur et Patrie" (honor i ojczyzna) sztandary Legji Cudzoziemskiej noszą napis — „Honneur et Fidellite" (honor i wierność), jako że w Legji ludzie różnych narodowości pełnią służbę ochotniczą, a Francja jest dla nich przybraną tylko Ojczyzną.



Jeden z weteranów 2-go pułku Legji, rodem z Alzacji, który zaciągnął się, będąc jeszcze niemieckim poddanym



Sanitarjusze muszą być zaprawieni do pełnienia służby w pełnym rynsztunku bojowym. Niejednokrotnie bowiem zdarzyło się podczas walk z Riffenami, iż lazaret lub transport z rannymi musiał stawać w obronie przed napaścia



Chwila odpoczynku. Przyjemniejby ją spędzić przy szklance wina, ale w polu, zdala od miasta legjonista musi się kontentować choćby grzybobraniem



Przegląd lekarski. Mimo, iż legjoniści zaciągnęli się dobrowolnie — codziennie niemal lekarz pułkowy musi odsyłać do „paki" kilku symulantów, którzy pod pozorem dolegliwości chcą się zwolnić od ćwiczeń



Niemcy żywią specjalną nienawiść do Legji, w której wielu dezerterów, dręczonych reżimem pruskim znajdowało schronienie. Na fotografji widzimy dziwną produkcję w Berlinie, poświęconą propagandzie przeciw Legji.



Służba w Legji wymaga wielkiej wytrzymałości fizycznej. Słusznie też czynią dowódcy, dbając o rozwijanie wśród szeregowców zamiłowania do sportów. Ekipy z Legji zdobyły niejedną nagrodę na różnych zawodach



Najstarszy wiarus z 2-go pułku, Korsykańczyk, który przesłużył 22 lata w szeregu gawędzi z najmłodszą latoroślą, Marokańczykiem, podrzutkiem adoptowanym przez legjonistów w Sidi-bel-Abes

Ktokolwiek zaciągnie się do jej szeregów, znajduje tu schronienie, w którem może przebywać lata całe nie wyjawiając swej przeszłości, choćby go poszukiwały sądy, choćby był ostatnim wyrzutkiem społeczeństwa lub rozczarowanym wykolejeńcem. Nazwisko tu znają takie, jakie się poda — bez żadnych sprawdzań, bez dokumentów. „Condotjerzy" z różnych krajów, ludzie o najróżnorodniejszym poziomie umysłowym — wszyscy tu służą złączeni przysięgą na „honor i wierność" — godło wypisane na sztandarze pułkowym.

W kronikach Legji zapisano wspomnienia o niezwykłych typach ludzi, którzy służyli w jej szeregach. Oto naprzykład taki porucznik rosyjski, który zbiegł do Legji ze swej ojczyzny wskutek czynnego udziału w rewolucji 1905 r. i dosłużył się rangi sierżanta w r. 1918. Albo ów legjonista, znany pod nazwiskiem Albrecht Friederich, który po 20-u latach służby został porucznikiem; po śmierci zaś jego dopiero wyszło na jaw, iż jest bratem stryjecznym księcia pruskiego, Henryka. Weźmy znów takiego sierżanta Anamitę — który będąc człowiekiem z wyższem wykształceniem i znakomitego pochodzenia z rodu mandarynów, skromnie służył pod przybranem nazwiskiem i zginął bohatersko podczas wojny światowej. Służył tu niejaki Lebiediew, który został w następstwie ministrem marynarki w Rosji za rządów Kiereńskiego — obok syna posła perskiego w Paryżu, Nazar-Aga, który w roku w r. 1918 dosłużył się rangi kapitana i został odznaczony Legją Honorową.

Iluż oficerów z różnych armji — Anglików, Włochów, a nawet Niemców i Austrjaków, którzy po burzliwem życiu, uwieńczonem jakiemś ciężkiem przewinieniem, wolą służyć w Legji jako szeregowi, niźli znosić hańbę więzienia i pozbawienie praw we własnym kraju.

Spotykamy tu również oficerów z armji obcych, żądnych czynów i przygód, przyjmowanych do Legji „a titre étranger". Jedynem ograniczeniem, które im stawią jest ranga, gdyż nie mogą otrzymać wyższej od kapitańskiej. Typowymi „Condotierami" tego rodzaju są trzej Niemcy, którzy, po odbyciu we własnej armji całą wojnę światową w randze oficerskiej, wstąpili do Legji, do szeregu, i zostali mianowani oficerami w wyniku zasług podczas kampanji marokańskiej i po ukończeniu szkoły piechoty w Saint-Maxent.

Faktem nie mniej oryginalnym jest zaciągnięcie się do Legji w randze porucznika księcia krwi duńskiego.

Napływ cudzoziemców zwiększył się zwłaszcza po wojnie światowej. Kilkudziesięciu rodaków naszych służy w szeregach Legji obok b. białogwardzistów rosyjskich, Turków, Niemców, Szwajcarów, Austrjaków i Czechów. Znamiennym szczegółem jest stosunkowo znaczna liczba Szwajcarów, którzy od dawna żywią specjalny kult do Legji Cudzoziemskiej.

Oczywistą jest rzeczą, iż dowodzenie tak różnorodnym zespołem ludzi nie może być łatwem. Oficerowie muszą się kierować odmiennemi zasadami dyscypliny, niźli w innych formacjach. Upominać za przewinienia — karać w ostateczności, nie można bowiem inaczej postępować z ludźmi, których, bądź co bądź, za normalnych duchowo uważać niepodobna. Niezbędnem jest również rozwiązanie pewnej specjalnej ambicji legjonowej, która zacierając w tych ludziach różnice narodowościowe, pozbawia ich tembardziej cech indywidualnych, nie zawsze w parze idących z etyką i moralnością.

Wszystkoby szło jak najlepiej, gdyby nie nieznośna tęsknota, która opanowuje od czasu do czasu legjonistów. A wówczas biada, bo legjonista idzie na „va banque", na najgorszą awanturę, a nawet i zbrodnię.

Oto, naprzykład na kilka lat przed wojną pewien legjonista — Niemiec, namówiwszy kilkudziesięciu kolegów stanął na ich czele w przebraniu oficera i grasował po wsiach zbierając okup od tubylców. Albo inny Niemiec, nazwiskiem Klems, który zbiegł z szeregów pełnił funkcję ministra wojny u Abd-el-Krima...

Niema na to rady. Tak jak z przysłowiową rosyjską „handrą" (zwaną po francusku „le cafard"), która tak wielu ludzi popchnęła na drogę ekscesów lub zbrodni.

A jednak, mimo wszystko, co niechętni mówią i piszą o Legji — formacja ta stanowi jednostkę bojową o wyjątkowych tradycjach honoru i waleczności, a zarazem schronienie dla niejednego, co w innych będąc warunkach, mógłby zostać wykluczonym ze społeczeństwa.

Z teki Jotesa

(Na kongresie odbytej w Warszawie międzynarodowej konferencji rozkładów jazdy kolejowej).



Calef (Włochy)



Speir (Anglja)



Jochem (Niemcy)

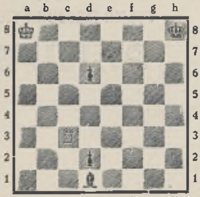


Roll (Austrja)

Rozrywki umysłowe

STUDJUM.

Białe zaczynają i osiągają nierozegraną.



MATCH ALECHIN BOGOLUBOW.

Walka o mistrzostwo świata jest nadal bardzo emocjonująca. Alechin osiągnął osiem wygranych, przegrywając jednak z Bogolubowem aż cztery portje. Może dlatego właśnie wygrał osiem, że przegrał aż cztery. Napozór wydaje się to przypuszczalnie zabawnem. Ale ostry styl nadany match'owi musi prowadzić do karkołomnych sytuacyj. Champion świata pozwala sobie za wiele w niektórych rozgrywkach i groźny Bogolubow wspaniale wykorzustuje każdą okazję. Ale częściej bo w podwójnych (!) stosunku zwycięża pogromca Capablanki. Taki wynik jest równorzędny z wygraną 4 : 0 przy większej ilości remis. O ile jednak ciekawym dla licznych obserwatorów był tęn tuzin dramatów na 64 polach. Zresztą i niektóre remisy tego match'a stanowią ucztę dla znawców.

W konkluzji: jedno z najciekawszych wydarzeń w historji szachów.

WIELKA OLIMPJADA SZACHOWA W HAMBURGU.

W przyszłym roku Hamburg urządza Olimpjadę szachową analogiczną do zeszłorocznej, rozegranej w Hadze.

METAMORFOZA.

Ułożył Coturnix.

Metamorfoza polega na zmianie kolejno po jednej literze danego słowa tak, aby za każdym razem tworzyło się inne słowo. Po zmianie wszystkich liter w taki sposób, metamorfoza jest dokonana. Dla ułatwienia rozwiązania i dla uniknięcia ubocznych rozwiązań podajemy odrazu końcowe słowo, redukując zadanie do wynajdywania pośred nich ogniw „łańcucha" słów. Naprzykład Rodak, Kodak, Kozak, Krzak, Krzyk, Krzyż.

B	U	D	D	A
M	A	R	K	S

BILETY WIZYTOWE

Ułożył por. Cezary Pobóg-Pągowski

Pan ZYGM. IRNIS

LISIA BURTAK

TOLEK R. RON

EWARYST BLIK

PANI KLATKA

JASIO FLAITC

A. NIC, poseł

E. PRYTUS
Kowno

REBE LIT

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY.

Za rozwiązanie metamorfozy oraz biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 18-go listopada b. r.

CO CHEMJA DAŁA KOBIECIE W XX-ym WIEKU.

Rozmiłowana w estetyce i kulturze ciała, walczy kobieta już dawno z każdym brakiem i niedokładnością swej urody. Na każdą niemal usterkę znalazł się sposób, który skutecznie prowadzi do tego, by uczynić kobietę prawdziwie piękną. Do walki ze zbytecznem owłosieniem służyła nam dotychczas brzytwa lub maszynka. Stwarzało to jednak wiele trudu, zmuszało do krępującego uciekania się do pomocy osö bdrugich, narażało na skaleczenie, a nawet infekcję. A przytem — rezultatu nie osiągano, bowiem włosy wyrastały znów, twardsze i gęściejsze. I na tę bolączkę — szpecące owłosienie — znalazły sposób nauka i chemja: z trudem i wysiłkiem spreparowano radykania się do pomocy osób drugich, narażało na smarowaniu cienką warstwą w ciągu kilku minut usuwa niepotrzebne włosy, nie wywołując zaczerwienienia, ani swędzenia skóry.

Krem „*FEMY*" zyskał największe uznanie nauki i jest zalecany, jako najlepszy środek przeciw owłosieniu.

Lekarz R. M.

J. J. RENAUD. 2)

CZARNA SZPILKA

(Copyright „7 DNI")

STRESZCZENIE POPRZEDNIEGO ROZDZIAŁU.

Pewnej nocy w jednym z hoteli normandskich obudził p. Mouriade złoczyńca, usiłujący włamać się do jej walizki. Złoczyńca ucieka, w korytarzu pada strzał, człowiek pada martwy. Kto go zabił? W kieszeni zabitego znaleziono szpilkę, przedstawiającą głowę murzynki, otoczoną czterema ramionami. Jest to symbol bogini śmierci Kali. Słynny detektyw paryski Barnèze zostaje wezwany, celem wykrycia zbrodni.

Godzina pierwsza. Pani Mouriade nie udała się na spoczynek. Postanowiła również czuwać tej nocy, bo zresztą, jakże zasnąć po takich przejściach, a nadomiar wszystkiego... panna służąca nieznośnie chrapała na kanapie.

Mimowoli liczyła promienie, puszczane od czasu do czasu z latarni morskiej tam za plażą.

— „Heblis" — powtarzała sobie — „Heblis". I znowu on! Ale dziś niczem nie ryzykuję, bo przecież w sąsiednim pokoju jest ten znakomity Barnèze. Zawołam go w razie niebezpieczeństwa...

Wtem uwagę jej zwrócił jakiś dziwny odgłos... Czyżby się myliła?... Nie. Bo oto znowu powtarza się... raz, dwa, trzy — trzy uderzenia długie, trzy krótkie, teraz znów to samo, coraz wyraźniej... Czyżby Barnèze sygnalizował? Nie, boć to nie od strony pokoju, ale tam, koło okna...

Wpatrzyła się w okno — lecz nic na razie nie dostrzegła. Wtem z trudnością stłumiła okrzyk przerażenia... Oto blask reflektora oświetlił okno i ujrzała twarz, jakby przyklejoną do szyby, nieznajomy wpatrywał się błędnym wzrokiem. Na głowie miał zakrwawioną opaskę...

— — — — — — — — — — — —

Barnèze długo nadsłuchiwał u drzwi. Jedna z kobiet zasnęła. Po donośnem chrapaniu domyślił się, że to pewnie służąca. A pani Mouriade? Czuwa, czy śpi?

Znudziło mu się wreszcie, zaczął więc rozglądać się po salonie. W biureczku mogły być tylko papiery bez znaczenia. Wystarczy spojrzeć na zamek by się o tem przekonać. Kufer — to co innego. W kufrze takim lub chociażby w walizce skórzanej, którą zauważył pod fotelem, można przechowywać cenniejsze rzeczy...

Medytacja ta została nagle przerwana niespodziewanym odgłosem z sąsiedniego pokoju. Rzucił się ku drzwiom. Począł słuchać... Aż wreszcie zdecydował się i zapukał... Raz, drugi, trzeci... Nic. Nikt nie odpowiadał.

— Proszę otworzyć! — krzyknął głośno.

Nic...

Zaniepokojony skoczył ku drzwiom wiodącym na korytarz. Nacisnął na klamkę — lecz przekonał się, że zamknięto go zzewnątrz... Wówczas bez wahania rzucił się ku oknu i...

HEBLIS.

...i wyciągnął z tylnej kieszeni od spodni rewolwer, dużego kalibru. Następnie uchyliwszy ostrożnie okno, wyszedł parę kroków na balkon, pogrążony w ciemności...

W tej chwili, wyłoniła się z mroku jakaś ręka, wydarła mu rewolwer i wyrzuciła nazewnątrz, na bruk. Za pierwszą ukazała się druga ręka, schwyciła go za pierś, pchnęła go do środka pokoju. Napad ten był tak gwałtowny, że nie mogąc utrzymać równowagi, upadł na fotel, ciężko dysząc...

Jednocześnie drzwi prowadzące do sypialni otworzyły się na roścież, ukazując w nich panią Mouriade i jej pokojówkę drżące ze strachu.

Ujrzały one dwuch ludzi stojących na wprost siebie. Jeden z nich o szelmowskim wyrazie twarzy, z włosami rudemi na głowie, drugi młody, brunet, z bandażem, zakrywającym prawie do połowy szczupłą twarz. Ubranie jego było poplamione krwią i błotem.

— A, co! Myślałeś, żeś już mnie zabił, bandyto! Sądziłeś, że twój zamach na mnie, na drodze pomiędzy Lisieux i Pont-l'Evèpue powiódł ci się! Że strąciwszy mnie swem olbrzymiem autem do rowu pozostawisz za sobą trupa. Ograbiwszy mnie z mych papierów, przybyłeś tu w mojem zastępstwie. Ale nic z tego! Jak widzisz przybyłem w samą porę...

Dwuch agentów weszło w tej chwili przez drzwi prowadzące na korytarz. Zbliżyli się cicho do zdemaskowanego rzezimieszka i silnie pochwycili go pod ręce. Nie stawiał im żadnego oporu.

— A teraz, mój poczciwcze, trzeba będzie wszystko wyśpiewać... Domyślam się, że jesteś tylko podkomendnym... Któż jest naczelnikiem bandy?...

Rudy drab uśmiechnął się sucho i odpowiedział tonem lekkim i nie przymuszonym.

— Kto jest mym naczelnikiem?... Panie Barnèze, jeżeli nie powiem panu jego nazwiska to i tak nie dałbym czterech groszy za pańskie życie... A jeżeli je panu wyjawię, moje życie będzie jeszcze mniej warte...

— Odprowadzić tego łotra na posterunek... i zamknąć w celi... bez jedzenia... hm, chciał mnie zabić... Może później będzie więcej rozmowny... A idąc przez hotel nie róbcie żadnego hałasu... Niech to narazie pozostanie w tajemnicy!... Za

chwilę przyjdę do was, chciałbym tylko porozmawiać z panią parę minut.

Obaj agenci wyszli, uprowadzając ze sobą aresztowanego.

— Pozwoli pani, że usiądę.. Jeszcze jestem trochę słaby po ostatnich wypadkach... Dziękuję!.. Z raportów agentów, którzy telefonowali do mnie do Paryża, dowiedziałem się, że jest pani wdową po oficerze marynarki, który był od pani znacznie starszy. Był on, zdaje się, człowiekiem bardzo mądrym, wynalazcą. Zdziwiło mnie też to ogromnie, że pani nie zrozumiała sygnału S. O. S., który pani dawałem. Trzy uderzenia długie, trzy krótkie, które oznaczają alarm: *Save our souls* *).

Gdyby pani mi otworzyła okno i wysłuchała, moglibyśmy wyciągnąć więcej od tego bandyty. Urządzilibyśmy małą rozmowę pomiędzy panią i nim, i wyłowilibyśmy dużo ciekawych szczegółów... A tak, cóż... Niech mi pani jeszcze raz wybaczy moją... moją...

Barneze przerwał... W pewnej chwili salon zawirował mu przed oczyma... poczuł, że słabnie... w ostatnim momencie pół świadomości zdał sobie sprawę z tego, że mdleje... W chwilę potem osunął się na miękki dywan.

Obudziło go silne pieczenie w nozdrzach. Nawpół jeszcze przytomnie rozejrzał się po pokoju. Leżał wyciągnięty na dywanie z poduszką pod głową. Obok niego klęczała pani Mouriade, nacierając mu skronie solami trzeźwiącemi. Barnèze uśmiechnął się miłym, omal że nie dziecinnym uśmiechem. Poczem przy pomocy pokojówki uniósł się z ziemi i usiadł z powrotem na fotelu.

— Dziękuję pani bardzo za ratunek. Niech mnie pani ma za wytłumaczonego. Po wypadku... tam na drodze... zaszyli mi ranę bez żadnego usypiania.. tak się śpieszyłem tu, do tego łotra... Panienko — zwrócił się do pokojówki — niech panienka wyjdzie na chwilę. Chcę porozmawiać z panią Mouriade na cztery oczy.

Skoro tylko zostali sami, Barnèze. zdjął chustkę opasującą jego głowę. Pod chustką ukazał się bandaż okrywający rany, zeszyte w szpitalu.

— Chustka ta jest już teraz zbyteczna — wyjaśnił — Włożyłem ją uprzednio, by zakryć twarz. Uważam, że pokazywanie mej twarzy było do tej pory niepotrzebne.

— Może mi pani będzie łaskawą wszystko dokładnie opowiedzieć co się stało ubiegłej nocy.

Lucyna powtórzyła to samo co przed kilkoma godzinami zeznała przed sędzią śledczym.

Skoro tylko skończyła, Barnèze wstał i bez słowa wyszedł na korytarz. Przy pomocy kieszonkowej latarki elektrycznej zbadał dokładnie ścjany korytarza, poczem powrócił z powrotem do salonu, zamknął drzwi za sobą, usiadł... i uśmiechnął się.

— Dlaczego mi pani nie powiedziała prawdy? — zapytał cichym głosem . ... powinna przecież pani mieć do mnie zaufanie... jestem tu poto, by panią bronić....

— Ależ panie, ja mówiłam prawdę!...

Oczy Barnèza zwężyły się. Głos jego stał się oficjalny i suchy.

— Twierdzę wprost przeciwnie!... Prawdę usłyszy pani odemnie... Przedewszystkiem pozwoli pani na jedno pytanie... Pani mieszka w Ameryce?

— Owszem, mieszkałam... Ale skąd pan o tem wie?...

— Wiem, doskonale!... A oto, co się działo poprzedniej nocy: zbudziła się pani pod wpływem jakiegoś stuku... Jakiś człowiek usiłował wyłamać zamek pani walizki. Otrzymał polecenie wykradzenia stamtąd pewnych rzeczy. Nie były to pieniądze, ani klejnoty, lecz dokumenty, których znaczenia się domyślam, a które stanowiły dla pani skarb bezcennej wartości. Poświęciłaby pani dla nich życie. Poczuła pani niczem nieprzezwyciężoną nienawiść do włamywacza, który pragnął się ulotnić. Wybiegła pani za nim uzbrojona w browning, do którego zastosowany został specjalny tłumik. Takich tłumików, które czynią wystrzał prawie niedosłyszalnym u nas niema. Natomiast można je nabyć w New - Yorku lub Chicago... Aha! już nawet wiem gdzie pani przechowuje ten przyrządzik... Kiedy się pytałem, czy pani mieszkała w Ameryce, mimowoli spojrzała się pani na wierzch tej oto szafy...

Mówiąc to, Barnèze, wszedł na fotel i w miejscu wskazanem uprzednio znalazł coś w rodzaju długiego, cienkiego lejka.

Pani Mouriade milczała z wbitemi nieruchomo oczami w podłogę...

— Ten przyrząd, dość popularny w Ameryce doskonale tłumi odgłos wystrzału... A więc, uzbroiwszy się tym pistoletem, który, prawdopodobnie, należał do pani męża, dopadła pani uciekającego złoczyńcę.. Dopadła go pani w chwili, kiedy usiłował się wymknąć schodami dla służby... za kotara... wpakowała mu pani kulę w plecy, od której zginął... Śmiertelnie raniony odwrócił się jeszcze i zdążył pani wydrzeć broń z ręki... przy tem szarpnięciu tłumik wypadł na ziemię... pani się cofnęła... i ten moment zaobserwował nocny portjer, który szedł korytarzem. Człowiek, leżący na ziemi wystrzelił do pani, lecz chybił; znalazłem kulę która utkwiła o dwa metry nad ziemią; nie szukano jej, ponieważ przypuszczano, że to jest ta właśnie, od której zginął nieznajomy... mówiono, że było brak tylko jednego naboju w magazynku; w rzeczywistości brak było również drugiej kuli w lufie; razem dwuch!... Z browningami stale się powtarza ta sama historja... nigdy niewiadomo ile faktycznie wystrzelono ładunków. Następnie, ostatkiem sił włamywacz cisnął w panią browningiem, który panią o mało nie trafił w głowę.. Jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że portjer nie słyszał jak pani wystrzeliła, ponieważ: po pierwsze tłumik jeszcze wtedy funkcjonował, po drugie portjer szedł głównemi schodami, które się znajdują na przeciwległym końcu korytarza, przyczem był o półpiętra niżej... Natomiast drugi strzał, który był oddany bez tłumika, został przez niego usłyszany. Żadne podejrzenie nie mogło paść na panią, ponieważ w chwili głośnego wystrzału miała pani dłonie puste i wzniesione do góry... W chwilę potem, kiedy portjer zbiegł na dół w poszukiwaniu pomocy, znalazła pani tłumik i ukryła go na tej szafie... Jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności kazał pani nastąpić na wystrzeloną łuskę naboju; podniosła ją pani i gdzieś ukryła... na razie jeszcze nie wiem gdzie... Pani zrobiła więcej... Ażeby zaciemnić całą sprawę, czy też, chcąc jej nadać charakter bardziej tajemniczy, włożyła pani na szyję trupa wianek indyjskich kasztanów, który, poprzedniego dnia, był upuszczony na pani balkon, przez chłopca, mieszkającego o piętro wyżej... miała pani poprzednio zamiar odniesienia tego wianka chłopcu... czy może mi pani zaprzeczyć?



...w tej chwili, wyłoniła się z mroku jakaś ręka, wydarła mu rewolwer...

— Nic nie mam do powiedzenia — wyszeptała Lucyna pobladłemi wargami.

— A więc mówię prawdę?... To wszystko w porządku!... Ujrzawszy szpilkę o wstrętnej twarzy, wykrzyknęła pani: „Heblis"... Dziwnie się doprawdy złożyło, że oboje z panią posiadamy wspólnego, straszliwego wroga... Wróg ten, który przyjął przezwisko Heblis zabił mojego ojca, wyciągnąwszy od niego uprzednio podstępem tajemnicę pewnego wynalazku... Tak! zabił mego ojca, przysławszy mu uprzednio zagadkową szpilkę... Postanowiłem się na nim zemścić, a ponieważ podczas wojny służyłem w oddziale kontr-wywiadu, miałem dużo praktyki w śledzeniu przestępców.

W miarę, jak Barneze mówił, zmartwiała twarz Lucyny zaczęła się stopniowo ożywiać. Kiedy skończył, podniosła na niego oczy i wyciągnęła ku niemu ramiona:

— A więc nie jestem jego jedyną tylko ofiarą — wykrzyknęła. Mąż mój miał identyczny wypadek co pański ojciec. Po długich badaniach, udało mu się wreszcie wynaleźć sposób kierowania okrętami przy pomocy fal Hertza... Pewnego dnia otrzymał wezwanie od jakiegoś osobnika, który się podpisał słowem: „Heblis". Udał się na spotkanie. Po powrocie zwierzył mi się ze swoją troską: „Zażądano odemnie, bym odstąpił swój wynalazek za darmo, w przeciwnym zaś razie grozi mi śmierć". Zauważyłam, że w mankiet jego ubrania została wpięta szpilka, przedstawiająca głowę murzynki z czterema ramionami... taka sama, jaką znaleziono dzisiaj w nocy w kieszeni nieznajomego... Nic nie mogliśmy wówczas z tego zrozumieć... W trzy dni później znalazłam męża martwego, leżącego na podłodze swego gabinetu... „Udar sercowy" zawyrokowali lekarze... Jednakże wiedziałam, że mąż miał serce zdrowe, i że raczej to było spełnienie groźby... Po pogrzebie pojechałam do mych przyjaciół w Anglji, zabrawszy ze sobą wszystkie papiery, dotyczące wynalazku mego męża, a które przedstawiały sobą ogromną fortunę... Zaraz na okręcie usiłowano ukraść walizę, zawierającą papiery... Jednakże dobrze ich pilnowałam; posiadam dużo zimnej krwi i jestem odważna... obroniłam się, zaczęłam krzyczeć... Uciekli... Wreszcie stracili moje ślady, czy też, obawiając się surowości praw angielskich, pozostawiono mnie w spokoju. Od dwóch miesięcy przebywam tutaj... Plany znajdują się w tamtej walizie...

Pani Mouriade zakończyła wreszcie głosem cichym, prawie zamierającym:

— Tej nocy... wszystko odbyło się tak, jak pan opowiedział...

— Myśleli, że im się uda wykraść te plany... Pokuszą się jeszcze nieraz o to... Niech pani będzie ostrożna!... Są to ludzie, którzy nie cofną się przed żadnym środkiem... Radzę pani powrócić do Paryża... Tam można się dobrze ukryć.. tembardziej, że zachodzi potrzeba natychmiastowego ukrycia się pani... Tak... niech mi pani wierzy... W Paryżu będzie się pani również łatwiej obronić.

(D. c. n.).

*) Ratujcie nasze dusze — sygnał dawany przez tonące okręty (przyp. redakcji)

JAN KARCZEWSKI.

Temat

Na rogu avenue Wagram i placu de l'Etoile spotkałem mego przyjaciela Amadeusza Mugué, feljetonistę z Petit Parisien. Wpadliśmy na siebie z rozpędem i jako, że akcja równa się reakcji, spojrzeliśmy na się okiem niechętnem.

— Zgubiłeś teściową? — spytałem wiatronoga.

— Nie, znalazłem temat, — odpowiedział poprawiając kapelusz.

Z całym światem podziwiałem niebywały rozmach, błyskotliwość stylu, co tu dużo mówić, talent, Amadeusza. Nigdy jednak nie mogłem zorjentować się należycie, w jaki sposób zjawiska zewnętrzne załamują się w pryzmacie jego zmysłowości, by wyjść na świat w postaci gotowych już produktów literackich. Postanowiłem więc skorzystać z okazji.

— Kochany, złoty, jedyny — zacząłem go błagać — opowiedz mi swój temat zanim go napiszesz, opowiedz! Pomyśl, jutro przeczytam gotową nowelkę i będę mógł obserwować różnicę pomiędzy faktem — a jego odbiciem w zwierciadle sztuki.

— Dobrze — odpowiedział Amadeusz — chociaż muszę przyznać, że jest to z mojej strony wielka nieostrożność. Fakir nie dlatego robi cudy, by cudy te były prawdziwe, ale dlatego, że nikt nie wie — jak on je robi. Wierzę jednak, że będziesz szlachetny i że nie wykorzystasz tajemnic mego rzemiosła.

Wstąpiliśmy do małej kawiarenki.

— Napijesz się wina? — spytałem.

— Nie, wolę filiżankę kawy i kieliszek koniaku — odparł Amadeusz. — Wino piłem przed chwilą. Przy winie, nad kielichem perlistego Mumm'u zrodził się właśnie mój temat. Zamów kawę.

— Opowiadaj więc, — zagaiłem, gdy kelner ustawił przed nami zamówione płyny.

Amadeusz zaciągnął się aromatycznym bukietem Armagnac'u i zaczął.

— Poszedłem coś zjeść do małej knajpki przy avenue de la Bourdonais, którą protegują z racji doskonałych pasztecików na gorąco, stanowiących specjalność zakładu. Ruch tam jest wielki, więc dopiero po dobrej chwili oczekiwania dostałem stolik. Nadmienić muszę, że chwila oczekiwania na miejsce, w czasie której patrzysz na zajadających poprzedników, dziwnie zaostrza apetyt i bezwątpienia wydatnie podnosi konsumpcję.

Gdy nareszcie dostałem miejsce, przestałem źle patrzeć na siedzących, natomiast przybysze, drepczący przed bufetem, napełnili mnie niechęcią i zniecierpliwieniem. Z pełną świadomością przewlekałem jedzenie, roskoszując się sadystycznie łakomemi spojrzeniami oczekujących. Nawiasem dodam, że podobną zmianę światopoglądu obserwowałem nieraz u leaderów opozycji w chwili gdy zostawali ministrami.

Ale, właśnie w momencie filozofowania o bezwzględności prawa walki pomiędzy posiadającymi, a oczekującymi stanął przedemną starszy pan.

— Przepraszam bardzo — zwrócił się do mnie. Jeśli pan nie oczekuje na kogoś, to poproszę o pozwolenie zjedzenia tych doskonałych pasztecików przy pańskim stoliku.

— Proszę — odpowiedziałem uprzejmie, nadmienię przytem, iż wiek przybysza przemówił silniej jeszcze od słów do mego sobkostwa, a przytem starszy pan miał niezwykle miłą powierzchowność. Było w nim trochę starego emerytowanego aktora, trochę ziemianina z prowincji. Wogóle lubię starych mężczyzn, dbałych o swój wygląd zewnętrzny, starannie wygolonych, wymytych i uczesanych, wnoszą bowiem do naszego otoczenia spokojny „charme" i dystynkcję pozbawioną kokieterji młodych fanfaronów.

Mój towarzysz stołu był przy tem rozmowny. Ledwie postawiono przed nim talerzyk z pasztecikami, rozpoczął.

— Wiele rzeczy zmieniło się we Francji, wiele, jedno może — tylko te paszteciki pozostały takie same, jak za dawnych, dobrych czasów.

— Czy bywał pan tu dawniej — spytałem.

Odpowiedział mi, że tak, że bywał tu dawniej przed dwudziestu, trzydziestu laty...

Po chwili staruszek zwrócił się do mnie z propozycją wypicia butelki szampana. Odpowiedziałem gestem raczej niechętnym, powziąwszy podejrzenie, że mam do czynienia z jakimś naciągaczem.

Mimo, że myśl moja była cicha i dyskretna, starszy pan podchwycił ją widać niezwłocznie, gdyż z miłym i spokojnym uśmiechem wyjaśnił.

— Zapraszam pana na butelkę wina, którą ja wybiorę i za którą sam zapłacę... Mój wiek nie pozwala mi pić więcej, jak jedną szklaneczkę.

Lekko zmieszany przystałem na propozycję. W trakcie, gdy szampan został wybrany i ustawiony w lodzie, starszy pan wydobył z niewielkiego „étui" płaski srebrny kubek i przetarłszy go starannie kawałkiem zamszu, ustawił na stole. Obserwowałem to wszystko z rosnącem zaciekawieniem. Kubek był doprawdy ładny, zauważyłem również, z monogramem, uwieńczonym koroną książęcą, a stary przecierając go i ustawiając na stole miał minę, jakby celebrował nielada misterjum.

— Więc któż to był do licha i czego chciał — przerwałem Amadeuszowi.

— Czekaj, czekaj i ja nie mogłem już zapanować dłużej nad ciekawością i przedstawiwszy się zadałem podobne twojemu pytanie.

Okazało się, że był to lokaj, nie krzyw się, proszę, lokaj lorda T. (nazwisko zobowiązałem się zamilczeć), obecnie, po śmierci swego pana, żyjący z hojnej emerytury, jaką mu zapewniono w testamencie.

Dla orjentacji dodam, że lord T. pułkownik „a la suite" był adjutantem króla Edwarda w czasach, gdy ten był jeszcze tylko księciem Walji. To „tylko" jest doprawdy dość fałszywe, gdyż księciu Walji wolno bezwątpienia więcej, niż cesarzowi Indji. Jako dobry paryżanin znasz zapewne niejedną anegdotę, świadczącą zarówno o jego temperamencie, jak i pomysłowości.

Lord Reginald T. sekundował swemu władcy w eskapadach kontynentalnych i jemu właśnie opinja publiczna purytańskiej wyspy przypisywała zły, czy gorszący wpływ na księcia.

Na skutek znanych wystąpień Izby wyższej, pułkownik T. zmuszony został w końcu poprosić o dymisję. Osiadł potem w swym zamku, zerwał wszelkie stosunki ze dworem i podobno nigdy już nie widział na oczy księcia, a potem króla.

To dobrowolne wygnanie dzielił z nim i mój towarzysz — lokaj. Pozwolisz, że przejdę do jego słów, opisując zdarzenie.

— Pan mój nie lubił Niemców, dużo go to kosztowało, zanim wytłomaczył księciu Edwardowi swój punkt widzenia. Gdy przyjechaliśmy do Blankborough, jedyną jego troską było, żeby mu Edwarda znów nie przerobili.

— Gut'n mo'en Mutterchen, — powtarzał często mój pan, patrząc na portret królowej Wiktorji. Mówię ci, Jacques, biada hanowerczykom, jeśli zadużo będą morgenować Eddye'mu.

Zdenerwowała go zwłaszcza wizyta cesarza Wilhelma w roku 1907. Zobaczysz, powiadał, namówią go, namówią, by trzymał lewą rękę wyżej paska od szabli. Poszły tedy na dwór dwa listy, grube listy, które Sir Reginald pisał przez całą noc. Jaka była odpowiedź — nie wiem. Po paru tygodniach dopiero powiedział mi pan, iż ważyły się losy Francji. Więcej nic nie powiedział, a tylko dalej, jakby do siebie „chcieli go wykąpać w piwie, kiepskiem szwabskiem piwie, ale nie dał się — woli nasz szampan, choć mu go teraz pewnie żałują".

— Nie rozumiem? — wtrąciłem.

— Ja też nie rozumiałem w pierwszej chwili tej aluzji. Pan Jacques wyjaśnił mi jednak, że głównym powodem napaści na jego lorda były kąpiele w szampanie, które młody Eddy ze swym adjutantem urządzali w Paryżu. Król musiał pod naciskiem Izb i dworu zmienić swe upodobania. Adjutant jednak zachował je do końca życia.

— Ciekawe!

— A widzisz! Jacques twierdził, że nic tak nie wzmacniało i nie uspakajało lorda, jak kąpiel w tym złotym płynie.

W zamku Blackborough urządzono specjalną łazienkę ze srebrną wanną, którą stary lokaj napełniał osobiście. Książę Edward używał do kąpieli trzydziestu flaszek, lord, mimo, że parowie są królom równi, uważał za słuszne ujmować z tej propozycji zawartość sporego kubka tualetowego, tytułem dobrowolnego hołdu „to his Majesty".

Przy wchodzeniu do wanny kubek otrzymywał Jacques, a lord powiadał:

— Wypij to, proszę, na cześć lat młodych

— Brałem kubek, — opowiadał mi starowina — i podnosząc go, mówiłem „Na cześć starej angielskiej krwi i ziemi, która rodzi to wino!".

Lord wchodził do wanny, szampan pienił się, osiadając drobną rosą gazu na jasno różowem ciele Sir Reginalda.

Lata szły, a ten cokolwiek dziwaczny rytuał trwał niezmiennie, aż wreszcie stary król spoczął pod wyniosłemi arkadami Opactwa ze swym czujnym „colly", zwiniętym w kłębuszek u stóp...

Lord T. powiedział mi wówczas:

— Jak kiedyś i ja umrę, a ty, Jacques, powrócisz do Francji, to powiedz, że Eddy nie dał się wykąpać w piwie. Powiedz... niech będą spokojni...

— Nie rozumiałem jeszcze pełnego znaczenia jego słów, czułem jednak, że musi być w nich wiele niecodziennej treści. Panie! ale nasza butelka już zamarzła. Dziś jest rocznica śmierci mego Pana, mam zwyczaj wypijać na jego cześć łyk szampana z tego samego kubka.

Powstaliśmy obaj.

— „Na cześć starej angielskiej krwi i ziemi, która rodzi to wino" — zawołał ze wzruszeniem Jacques. W milczeniu wychyliłem swój kielich...

— — — — — — — — — — —

— Co, już koniec? — spytałem Amadeusza.

— Pewnie, pożegnałem potem starego i... następnie spotkałem ciebie.

— A jak to rozwiniesz? — zapytałem.

— Niema czego rozwijać. Dodam tylko jakieś zakończenie. Naprzykład, że lord T. zginął w Szampanji, lub coś w tym rodzaju.

— Czy tak było naprawdę?

— Tego nie wiem, ale bezwątpienia, mogło tak być... Tylu zginęło... to wyrówna w oczach czytelników cenę zmarnowanego szampana... Bywaj, idę już, trzeba to napisać.

Amadeusz nacisnął kapelusz. Za chwilę zniknął mi z oczów.

— Ma, bydlę, szczęście do tematów...

Na ikarowym froncie

(Dok. ze str. 11-ej).

sukcesów techniki lotniczej. Motor Diesla pracuje bowiem nieporównanie ekonomiczniej i pewniej od motoru obecnego. Wprowadzenie jego do lotnictwa byłoby faktem rewolucjonizującym tę i tak dosyć rewolucyjną i niespokojną dziedzinę twórczości ludzkiej.

Inne ciekawe próby robione są w Niemczech. Ponieważ samolot będzie potężnem narzędziem walki w przyszłej wojnie, przeto „pacyfistyczni" konstruktorzy niemieccy pragną wynaleźć środek, któryby czynił samolot niewidzialnym i bezgłośnym, aby tem skuteczniej razić wroga.

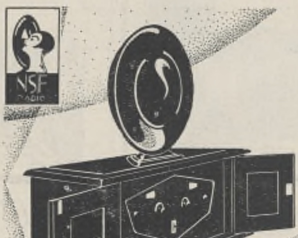
Stłumienie trzasków towarzyszących wydechowi już udało się technikom niemieckim. Energię uchodzących gazów spalinowych zużytkowuje się w celu stworzenia próżni, która zagłusza trzaski rury wydechowej. Wykonane próby przebiegły zupełnie pomyślnie i zebrani widzowie odnieśli zupełne wrażenie, że motor został wyłączony, chociaż w istocie rzeczy pracował pełną parą. Z szumem śmigieł sprawa ma się nieco gorzej, ale przez zmianę ich konstrukcji technicy mają nadzieję pokonania i tej przeszkody.

M. Vertmont.





POPIERAJCIE L. O. P. P.



KALENDARZYK TYGODNIOWY

10 N. Andrzeja
11 P. Marcina K.
12 W. Marcina P.
13 Ś. Stanisława Kostki
14 C. Jukunda
15 P. Leopolda
16 S. Edmunda.

TEATRY

Wielki: dn. 7 b. m. Faust z Nocą Walpurgji; dn. 8 b. m. Borys Godunow; dn. 9 b. m. Halka; dn. 10 b. m. o godz. 3 p. p. Syrena; dn. 10 b. m. o godz. 8-ej Lakme; dn. 11 b. m. nieczynny.

Narodowy: dn. 7 b. m. Wiosna Narodów; dn. 8 b. m. Niespodzianka; od dn. 9 b. m. codziennie: Koniec wędrówki.

Letni: codziennie: Wywczasy donżuana; dn. 10 b. m. o godz. 4 p. p. Proces Mary Dougan.

Nowy: codziennie: Adwokat i Róże.

Polski: codziennie: Pan Topaz.

Mały: codziennie: Olimpja.

Ateneum: codziennie: Hinkeman; od dn. 12 b. m. Broux Express.

Morskie Oko: rewja p. t. Cała Warszawa.

Qui - pro - quo: rewja p. t. Kochajmy się.

Cyrk: codziennie od godz. 8-ej: Inauguracyjny program.

KINA

Splendid: „Śpiewający błazen",
Pan i Capitol: „Z dnia na dzień"
Filharmonja: „Dama w szkarłacie",
Apollo: „Zakazane godziny",
Quo Vadis: „Serce ulicznicy",
Palace: „Ulubienica Maharadży"
Colosseum: „Grzeszna miłość",
Casino: „Motyl brukowy",
Stylowy: „Przebudzenie",
Hollywood: „Męczennica".

Prenumerujcie „7 DNI"

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze Dziecko Polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i Nazwisko głosującego ....

Adres ....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI".
Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr. 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".
Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I—3000 zł., II—2000 zł., III—1000 zł., i t. d.

ODCZYTY NA WYSTAWIE „RADJO I ŚWIATŁO".

Czwartek, dnia 7 listopada
Koncert - Dancing.

Piątek, dnia 8 listopada. Godz. 17-ta.
Odczyt p. t. „Znaczenie światła w przemyśle i handlu", wygłosi p. Ligęza - Stamirowski.

Godz. 20-ta.
Odczyt p. t. „Lampy nadawcze", wygłosi p. Ostoja - Wysocki.

Godz. 21-sza.
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych" wygłosi p. J. Ligęza - Stamirowski.

Sobota, dnia 9 listopada. Godz. 17-ta.
Odczyt p. t. „Co każdy o radju wiedzieć powinien", wygłosi p. I. Bursztyn.

Godz. 20-ta.
Odczyt p. t. „Racjonalne oświetlenie okien wystawowych", wygłosi p. J. Ligęza - Stamirowski.

Niedziela, dnia 10 listopada.
Dzień zarezerwowany dla Ligi Morskiej i Rzecznej.

Wtorek, dnia 12 listopada. Godz. 20-ta
„Wieczór Kiepury" transmisja koncertu Jana Kiepury z wielkiej sali Filharmonji Warszawskiej (zaproszenia zwykłe nieważne).

Środa, dnia 13 listopada. Godz. 17.30.
Odczyt p. t. „Budowa odbiorników zasilanych z sieci elektrycznej", wygłosi p. Z. Lorentz.

Godz. 19.30.
Odczyt p. t. „Najtańsza reklama", wygłosi p. J. Ligęza - Stamirowski.

Wystawa „Radjo i Światło" czynna jest codziennie od godziny 17-tej do 22-giej oprócz poniedziałków.

Wejście bezpłatne za kartami wstępu, które otrzymać można u kierownika wystawy przy ul. Mazowieckiej 9. od godz. 17-tej do 22-giej.

KUPON DO GŁOSOWANIA

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

B

BRAT.

Szuja i alkoholik. Wraca do domu nad ranem z rozwianym włosem i nieczystem sumieniem. Bez skrupułów spogląda w jasne oczy swojej siostry i wyłudza od niej ostatnie, zaoszczędzone na czarną godzinę gorsze.



Z chwilą, kiedy siostra wzdraga się przed daniem rozpustnemu bratu ostatnich, zaoszczędzonych na czarną godzinę groszy, nicpoń ten symuluje chęć popełnienia samobójstwa, przy pomocy zardzewiałego rewolweru. (Clara Bow i Richard Arden, fot Paramount).



Brat wszystko przepija w towarzystwie kobiet, złego prowadzenia (fot. Paramount)

Jeżeli siostra daje mu pieniądze odrazu, wówczas odchodzi bez słowa podzięki, kopnąwszy po drodze jedwabną poduszkę, jedyną ozdobę ubogiego pokoju.

Jeżeli jednak siostra się wzdraga przed oddaniem nikczemnemu bratu swego drobnego kapitału, wówczas brat symuluje samobójstwo przy pomocy zardzewiałego rewolweru. Otrzymawszy pieniądze, odchodzi zadowolony, gwiżdżąc cynicznie.

Pieniądze przegrywa natychmiast w karty, lub przepija je w towarzystwie kobiet złego prowadzenia.

Naprózno błaga go siostra, płacząc rzewnie, by zmienił tryb życia.

Brat nie poprawia się nigdy.

Czyha przez długie lata na zamążpójście siostry, aby móc podpisywać weksle sfałszowanem nazwiskiem szwagra, lub szantażować go pozorami zdrady. Wtedy zresztą nie zadawala się już drobnymi grosikami, lecz żąda wielkich sum podpisywanych w książeczce czekowej, którą każdy szanujący się szwagier posiada.

Jeżeli dobry Bóg obdarzy siostrę małem dziecięciem, wówczas brat zaprzedaje je złodziejom żądając od nich połowy okupu. A gdy siostra płacze i lamentuje, szukając zaginionego dziecięcia naprózno po całem mieszkaniu, brat patrzy złowieszczo na kołyskę i udaje, że nie wie o niczem.

Brat jest średniego wzrostu, brunet, przeważnie niegolony o podsiniałych rozpustą oczach. Niekiedy pije nałogowo eter.



„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 173-22 i 117-98.